

# ORZEŁ BIAŁY

*Polska walcząca na ziemi włoskiej*

ROK IV Nr 14 (104)

NIEDZIELA, 28 MAJA 1944 R.

CENA 10 LIRÓW

MICHAŁ CIOŁEK

## PO BITWIE

Wyobraźnia ludzka jest narzędziem niedoskonałym i dlatego, chociaż wszyscy wiedzieliśmy, że po długich miesiącach szkolenia i organizowania czeka nas Korpus ciężki i krwawa próba, to jednak czujemy się nieco oszczęliwieni rzeczywistością ostatnich dni. Napięcie i zacięłość walk stoczonych o Monte Cassino, bolesność poniesionych ofiar, wysiłek sięgający granic wytrzymałości — to wszystko było ciężkie i nieuniknione, ale jaskrawością przewyższyły obrazy, które przeciętna wyobraźnia mogła stworzyć. Pamiętać však należy, że dla wielu części wojska był to właściwie chrzest bojowy.

Toteż trudno się dziwić, że tuż po niesionym zwycięstwie nie widzieliśmy w wielu oczach żołnierzy, którzy je wywalczyli, radości, albo triumfu. Nie trzeba się gorszyć, jeżeli nawet najlepszy żołnierz, który przed niewielu godzinami myślał tylko o wykonaniu zadania i zachowaniu życia własnego i kolegów, ale który równocześnie widział padających lub w strzępy rozerwanych towarzyszy, szczerze pyta: „poco to wszystko?”, albo nie odpowiada na pytania i patrzy z niechęcią, czasem z pogardą na wszystkich, którzy nie przeżyli tego samego piekła. Jest bardzo zmęczony i sądzi, że jest nie rozumiany.

To nie żadna wyrozumowana postawa, ale organiczna reakcja po doznanej wstrząsach. Przypomnijmy sobie „marche” a, przypomnijmy sobie nastroje w wrześniu, albo pełne gorczy słowa najpiękniejszej pieśni tamtej wojny: „Nie chcemy już od was uznania!... Wierowane však do własnego, najbliższego sercu żołnierza spotęczenia.”

Zrzucone pytanie nie może jednak zostać bez odpowiedzi. Spróbujmy więc na chłodno i w oparciu o odpowiednie elementy zastanowić się nad tym, co zaszło.

### Operacyjne znaczenie bitwy

Monte Cassino jest ostatnim przed linią Gari i jej zbiegiem z doliną Liri — płem grzbietu ciągnącego się stamtąd ku północy, ku głównym pasmom Apennin. Na wschód i północ aż po Adriatyk teren jest bardzo górzysty i mało dostępny. Daleko wzdłużniejszym zadaniem od zdobywania tych teren jest opanowanie dolin, przesunięcie się z Campanii neapolitańskiej w stronę rzymską. Jakże się jednak zeszukać 10-kilometrową kotliną, gdy jej krawędzi sterczy na kilkaset metrów wyniesiona wroga strażnica, kierująca ogniem licznych za ukrytych baterii, o zasięgu pokrywającym całą szerokość doliny? Wojsko posuwające się od Gari doliną nie mogły być ponadto narażone na zrytualne przeciwdzierzenie oddziałów zmasowanych w rejonie Cassino — dimonte.

Na tym właśnie polega „kluczowe” stanowisko klasztoru. Jego założyciel, św. Benedykt, nie przewidywał zapewne, że stanie się ono przyczyną ruiny tego gniazda jego zakonu.

Wielomiesięczne, ogrom krwi i materiału kosztujące wysiłki opanowania tego „klucza” nie dały, jak wiemy, powodzenia, dopóki były wykonywane w skałi lokalnej. Dało je dopiero skombinowane natarcie, przeprowadzone na całym froncie od góry Cai-

uzyskały duże sukcesy terenowe aż po wybrzeże. To umożliwiło Korpusowi wykonanie drugiej części zadania, tym razem silniej przemawiającej do wyobraźni: przez uderzenie idące od wschodu na pozycje łączące Monte Cassino z systemem umocnień linii Hitlera (Monte Cairo) — odciąć klasztor i zlikwidować jego obronę.

Uderzenie to zostało wykonane i ukończone pełnym powodzeniem w dniach 17 i 18 maja. Walki wpraw-

krzyżowym ogniu wszystkich broni — terytoralne zyski sprzymierzonych byłyby wątpliwe, a dalszy marsz ku Rzymowi nie mógłby się odbywać.

Nie mogło się to obyć bez ciężkich ofiar.

Jak wartość zwycięstwa nie może być mierzona kilometrami, tak wartość ludzkiego życia nie da się zmierzyć centymetrem. Szczególnie bolesna jest strata Kolegów, z którymi spoili nas wspólne przeżycia tych niełatwych lat. Osobliwa też trudność uzupełniania luk w armii odległej od normalnych źródeł uzupełnień każe i z wojskowego punktu widzenia z troską oceniać ubytek najlepszych żołnierzy i dowódców.

Skoro jednak zwążywszy, że odnowienie zwycięstw jest właściwą drogą do Polski, a i bez przeżycia tej drogi życie nas wszystkich byłoby bez wartości, dojdziemy do przekonania, że ofiary nie są bezpłodne, albo zmanowane.

Za wcześniej jeszcze na szczegółową analizę fachową przeprowadzonych działań. Nie jest możliwe, by w tak wielkim i złożonym zadaniu nikt nie popełnił żadnego błędu, a w bitwie każdy błąd kosztuje. Biorąc jednak pod uwagę:

1) położenie, w którym Korpus stanowią łopaty wbity w pozycje wroga, a więc z trzech stron otoczony, gdzie nieprzyjaciel miał wgląd i obserwował na nasze tyły i skąpe linie komunikacji;

2) przyrodzoną trudność terenu, w którym nieporównanie łatwiej się bronić niż nacierać;

3) doskonałe przygotowanie tego terenu do obrony przez budowę silnych stanowisk, zaopatrzenie załogi i oddziałów sąsiednich w wielką ilość broni przystosowanej do warunków (moździerze), system zapór ogniowych itp.;

4) użycie do obrony najlepszych jednostek armii niemieckiej, jak 1. dywizja spadochronowa i oddziały 5. dyw. górskiej;

5) znaczne straty poniesione pomimo to wszystko przez nplą;

6) straty naszych sojuszników przy poprzednich *bezsłusnych* próbach zdobycia rejonu Cassino i niemniej bolesne ofiary oddziałów nacierających w dolinie —

wydaje się, że już teraz można zaryzykować pogląd, iż w stosunku do trudności zadania zostało ono wykonane, jako całość, *raczej oszczędnie*, a w każdym razie nigdzie nie miało miejsca lekceważenie ofiar, czy marnotrawstwo życia. Mamy tu, jak się zdaje, potwierdzenie starej zasady, że nawet ryzykowna akcja, przeprowadzona z pełnią decyzji kosztuje ostatecznie mniej niż powtarzane potoczne próby.

(Dokończenie na str. 10.)



Zwycięska flaga polska na Monte Cassino

ro po Morze Tyrreńskie w dn. 11 — 18 maja 1944 r.

W operacji tej, wykonywanej przez wojska kilku narodów sprzymierzonych i przez wszystkie rodzaje broni, Korpusowi naszemu przypadła rola szczególnie odpowiedzialna, ale też i szczególnie trudna.

W pierwszej fazie bitwy, w natarciu 12 maja, zadanie było tym bardziej niewdzięczne, że to, co daje żołnierzowi odpłatę za trud — radość zwycięstwa widocznego w zyskach terenowych — okazało się w tej fazie jeszcze nie do osiągnięcia. Osiągnięto natomiast, z czego nie wszyscy zdają sobie sprawę, cel nie mniej ważny, chociaż pośredni. Chodziło mianowicie o takie *związanie sił* nieprzyjacielskich czołowym uderzeniem na kluczowe górskie pozycje, by stracił on panowanie nad doliną na czas konieczny dla sforsowania rzeki Rapido (poniżej Cassino zwanej Gari) i mocnego usadowienia się na jej zachodniej stronie. To zadanie zostało wykonane kosztem bardzo ciężkich ofiar. Dzięki nim, jak również dzięki znakomitemu i niemniej krwawemu własnemu wysiłkowi, sojusznicy wojska brytyjskie przebyły rzekę i podjęły natarcie w kierunku prowadzącej do Rzymu drogi nr 6.

Teraz role się do pewnego stopnia odwróciły. Doskonale prowadzone natarcie brytyjskie przecięło wreszcie drogę nr 6 zagrażając tyłom załogi Cassino. Inne oddziały sprzymierzone

dzi nie ustaly, przyszły nowe trudne zadania na zboczach Caira, ale jak mówi rozkaz Dowódcy Korpusu: „Na ruinach fortecy Monte Cassino, którą Niemcy ogłaszali za nie do zdobycia, powiewa dumnie chorągiew polska!... Armie zaś sojusznice, posuwające się zwycięsko ku następnej przegrodzie w marszu na Rzym — linii Hitlera, nie potrzebują się już obawiać morderczego ognia, kierowanego przez obserwatorów z Monte Cassino.

Jedno z najwyższych brytyjskich odznaczeń — order Łaźni — przyznane tuż po bitwie Dowódcy Korpusu gen. Andersowi, życzenia Króla Jerzego VI, wizyta włoskiego Następcy Tronu, gratulacje i słowa uznania od najwyższych dowódców wojsk sprzymierzonych — świadczą, że doceniają oni znaczenie zadania wykonanego polską krawią, polskim potem, polską myślą i polską wolą, chociaż nie bez wybitnego współdziałania sojuszniczej artylerii i lotnictwa oraz manewru posuwających się na sąsiednim odcinku bratnich oddziałów VIII Armii. O ile prawdą jest, że sami nie mogliśmy ani podjąć, ani wykonać tak potwornego zadania, o tyle również jest prawdą, że *bez polskiego wysiłku*, bez owego uporczywego, krok za krokiem posuwania się w ogniu ku legendarnemu już dziś ruinie Mass. Albanet, bez dokładnego „wyczyszczenia” bunkrów na Widmie, na San Angelo, czy na 593, wreszcie bez utrzymania tych pozycji w zawczasu przygotowanym

JERZY TRZCIŃSKI

# NIEODPOWIEDZIALNE STANOWISKO

W dniu, w którym oddziały polskie krwały się pod Cassino, w chwili, gdy kompanie za kompaniami szły w bój składając ciężkie ofiary, aby ponownie dokummentować polski wkład w tej wojnie, w "Eighth Army News" ukazała się następująca notatka:

"Polska Rada Narodowa zdecydowała wczoraj jednogłośnie oddzielenie funkcji Naczelnego Wodza i następcy Prezydenta, obu pełniących obecnie przez gen. Sosnkowskiego.

Uchwała zostanie przedłożona rządowi polskiemu i Prezydentowi Raczkiewiczowi, który, jak się oczekuje, przychyli się do decyzji Rady Narodowej.

Powstaje obecnie pytanie, czy Prezydent wyznaczy innego następcę, czy innego Wodza Naczelnego, czy też zmieni obsadę obu tych urzędów".

Powyższą wiadomość podało żołnierskie pismo brytyjskie pod nagłówkiem: "Sosnkowski to lose post" — „Sosnkowski ma utracić stanowisko".

Redaktorzy tej notatki najwidoczniej nie wiedzą, że uchwały Rady Narodowej mają charakter jedynie opiniodawczy, a nie wiążący.

Nie zdziwiło nas, że informację tę powtórzyła niemiecka radiostacja "Wanda". Ani przez chwilę nie można było wątpić, że skorzysta z niej w swej akcji propagandowej, mającej na celu podważenie i osłabienie morale i postawy żołnierza polskiego.

Obserwując zaniepokojenie, jakie notatka wywołała w naszych oddziałach, jak została skomentowana przez pewien odłam prasy brytyjskiej, jak wreszcie stała się żerem dla wrogielce Polsce propagandy, zadajemy sobie pytanie, czym kierowali się ci, którzy w tak ciężkim dla Polski momencie podnieśli dyskusję na temat obsady naczelnych stanowisk państwowych, którzy za najpilniejsze swe zadanie w chwili obecnej uznali wyrażenie nieodpowiedzialnej opinii o niemożności łączenia w jednej osobie stanowisk następcy Prezydenta R. P. i Wodza Naczelnego.

Co spowodowało tę niesłychaną uchwałę, co skłoniło Radę Narodową do powzięcia jej właśnie w tym momencie? Czy troska o zgodność naszego życia państwowego z przepisami Konstytucji, czy jakiegoś nagłe potrzebę państwowe, których do tej pory nie było?

Stale na łamach naszego pisma podkreślaliśmy doniosłość utrzymania nienaruszalności naszej Konstytucji i konieczność ścisłej jej wykładni. Widzieliśmy w tym zawsze i nadal widzimy najskuteczniejszą gwarancję utrzymania na wychodźstwie ciągłości naszego życia państwowego oraz ważką ostoję i zapórę przeciw naciskom na naszą suwerenność. Ale właśnie obowiązująca nas wszystkich Konstytucja nie przewiduje żadnego ograniczania Prezydenta R. P. w wyborze osoby, którą uzna za najodpowiedniejszą na swego następcę. Przeciwnie uszczuplenie jego prerogatyw w tej dziedzinie jest postępowaniem niezgodnym z jej przepisami.

Ustawa konstytucyjna nie zakazuje łączenia w jednej osobie nie tylko stanowisk następcy Prezydenta i Wodza Naczelnego, ale nawet funkcji Prezydenta R. P. z funkcjami Naczelnego Wodza. Prezydent jest zwierzchnikiem sił zbrojnych. Art. 65 Konstytucji powiada wyraźnie: "W razie mianowania Naczelnego Wodza prawo dysponowania siłami zbrojnymi przechodzi na niego".

Używając słów: "w razie" Konstytucja tym samym przewiduje stan rzeczy,

w którym Prezydent R. P. może uznać za wskazane w ogóle nie mianować Naczelnego Wodza. W tym wypadku nie tylko sam zachowuje zwierzchnictwo sił zbrojnych, ale i bezpośrednio nim dysponuje. Postanawiając o Konstytucja nasza nie czyni żadnego odstępstwa od zasad demokratycznych. Przykładem są Stany Zjednoczone A. P., gdzie Prezydent wielkiej demokracji Zachodu jest równocześnie Naczelnym Dowódcą wojsk amerykańskich.

Jeśli w praktyce państwowej uznajemy nawet za słuszne i celowe przekazanie przez głowę państwa dyspozycji siłami zbrojnymi Naczelnemu Wodzowi, jeśli w tej praktyce pragniemy przestrzegać rozdziału funkcji Prezydenta R. P. i Naczelnego Wodza, co gwarantować ma uniknięcie niebezpieczeństwa dyktatury wojskowej lub supremacji wojska w życiu państwa, nigdzie ani w przepisach Konstytucji, ani w ocenie potrzeb państwowych nie znajdziemy uzasadnionych motywów dla wyłączenia wodzów naczelnych od możliwości zostania następcami głowy państwa.

Wyznaczony na czas wojny następcą Prezydenta R. P. mimo desygnaacji nie staje się przeciw organem państwa, nie spełnia żadnych czynności urzędowych, jest jedynie osobą przewidzianą do objęcia obowiązków głowy państwa w przyszłości. Rozpoczyna je pełnić dopiero w wypadku zgonu Prezydenta, zrzeczenia się lub niemożności pełnienia przez niego urzędu, jak to miało miejsce np. po klęsce wrześniowej. Wówczas następcą głowy państwa obejmuje opróżniony urząd i to tylko na czas ograniczony, a mianowicie do upływu trzech miesięcy po zawarciu pokoju. Z faktu desygnaacji Naczelnego Wodza na następcę Prezydenta R. P. nie wynika więc ani rozszerzenie kompetencji Naczelnego Wodza, ani zwiększenie jego wpływu na bieg spraw państwowych.

Czy biorąc powyższe rozważania pod uwagę słusznym byłoby uniemożliwienie Prezydentowi desygnowania na swego następcę osoby, którą uznaje za najlepszego kontynuatora swej polityki, najodpowiedniejszą i najodpowiedniejszą do dźwignia odpowiedzialności za losy kraju, tylko dlatego, że osoba ta pełni za jego urzędowania obowiązki Naczelnego Wodza?

Historia nie tylko Polski, ale i wielu innych krajów wskazuje, że wodzowie naczelnicy byli niejednokrotnie najbardziej właśnie predestynowani do objęcia stanowiska głowy państwa. Współczesna wojna, do której naczelnicy wodzowie przygotowują się i którą prowadzi, jest nie szeregiem operacji wojskowych, ale jest także działaniem politycznym. Z tytułu zaś pełnienia funkcji Naczelnego Wodza w wielu sprawach państwowych zajmuje stanowisko nadzwyczajne, pozostaje zwykle ponad sporami partyjnymi, najściślej współpracuje z Prezydentem, w czasie wojny ponosi największą odpowiedzialność za jej wynik, decydujący nieraz o losach kraju i narodu przez wiele pokoleń.

Toteż generalna reguła wyłączenia Wodza Naczelnego od możliwości zostania Prezydentem R. P. nie ma żadnego uzasadnienia. Nie ma takie wyłączenie również żadnego precedensu w państwach najbardziej demokratycznych i najściślej przestrzegających Konstytucyjną rolę podziału władz. Prezydentami państw demokratycznych byli niejednokrotnie wodzowie i to wodzowie naczelnicy. Takim Prezydentem był Waszyngton w Stanach Zjednoczonych A. P., Mac-Mahon we Francji, Hindenburg w Weimarskich Niemczech. W Polsce P.P.S., ugrupowanie uznające się za najbardziej demokratyczne, wysuwała Pilsudskiego na Prezydenta R. P.

A dalej, skoro Prezydent R. P. na swego następcę wyznacza Wodza Naczelnego, czy słusznym jest, aby Wódz Naczelnny bądź musiał odmówić Prezydentowi, bądź też rezygnować z tego powodu z dysponowania siłami zbrojnymi i podawać się do dysmisji? Z punktu widzenia potrzeb państwa wprowadzenie takiej zasady byłoby daleko posuniętą lekkomyślnością i nonsensem.

Państwo nie może rezygnować z dowództwa wojskowego, zdolności i pracy Wodza Naczelnego dlatego tylko, że w przyszłości może on ewentualnie zostać głową państwa.

Wiemy, jak wielkim autorytetem cieszy się w naszym narodzie gen. Kazimierz Sosnkowski. Autorytet ten zdobył jako człowiek, jako żołnierz i jako mąż stanu walcząc od najwcześniejszej młodości o niepodległość Polski, w odrzonym państwie w najtrudniejszych chwilach zajmując odpowiedzialne stanowiska. Wiemy, że gdy do ostanków w kraju bił się z przewagą niemiecką, z niecierpliwością oczekiwano go na emigracji, aby powziął mu nowe trudne zadania i nowe dostojęstwa. A gdy przybył do Francji, nikt w tych ciężkich dniach po klęsce wrześniowej nie miał wątpliwości, że obecny Prezydent wyznaczy go swym następcą. Czynnikiem do Prezydenta Raczkiewicz potwierdził, że dyktat jego niczym nie krępowane sumienia pokrywał się z odczuciem całego narodu.

Po śmierci gen. Władysława Sikorskiego ani przez chwilę ani w szeregach wojska, ani wśród szerokich rzesz emigracji nie zaślępienie względami partyjnymi, ani w kraju nie miało wątpliwości, co obejmie spuściznę buławy hetmańskiej. Stanowisko wszystkich dowódców zarówno armii poza granicami kraju, jak i armii krajowej wskazywało, że wybór Prezydenta R. P. jest zwłoczym wyborem narodu.

I ten stosunek do osoby Naczelnego Wodza i następcy Prezydenta R. P. potwierdza stałe opinia kraju. Głosy wszystkich ugrupowań politycznych i wszystkich walczących w kraju organizacji.

Wystarczy przejrzeć prasę podziemną, aby zrozumieć, że kierowany instynktem samozachowawczym, rozumiejący powagę sytuacji naród skupia się dziś około swych władz naczelnych, a wśród nich około osoby Naczelnego Wodza.

I do tej pory nikt z Polaków nie zakwestionował przez szereg lat naszej tubaczki, że Kazimierz Sosnkowski jest następcą Prezydenta, nikt od mianowania go Wodzem Naczelnym przez szereg miesięcy nie wysuwał wątpliwości, że skupia on w jednej osobie obie godności.

Wiemy natomiast, komu obecny układ osobowy naczelnych władz państwowych nie odpowiada, kto usilnie mierza do wywarcia nacisku na jego zmianę. Nie od dziś czytamy w moskiewskiej "Prawdzie", słyszymy w audycjach radiostacji im. Kościuski stałe napaści na Naczelnego Wodza. Te same napaści prowadzone są systematycznie na Dowódcę 2. Polskiego Korpusu, na walczące we Włoszech oddziały polskie. Po tej samej linii i do tego samego celu zmierzają artykuły p. "majora" Grabca, zamieszczone w londyńskiej pro-woskiej "Tribune". Wiemy o co chodzi. Celowa nagonka mierza do podważenia w oczach opinii międzynarodowej autorytetu tych ludzi, którzy nieugięcie i twardo wypowiadają się w obronie polskich celów wojny, nienaruszalności i całości granic Polski oraz jej roli w Europie, tych ludzi, którzy postawą swą symbolizują dziś po-

stawę całego patriotycznego społeczeństwa polskiego.

Wrogie czynniki stale usiłują ingerować w wewnętrzne sprawy polskie. Raz za raz się zmienia rząd, innym razem zmieniają się dowódcy. Zawsze natomiast chodzi o wymuszenie na społeczeństwie polskim ustępstw, o zmiękczenie go, aby potęskuteczniej spychać je po równi podryżaż do zupełnego podporządkowania obywateli Niemcom.

Ale właśnie dlatego, im ostrzejsza jest kampania przeciwko naszym najwyższym dowódcóm, przeciwko wszystkim tym ludzióm, którzy niezachwianie bronią przetrwania Polski, tym silniejsze są więzy, które łączą z walczącym we Włoszech żołnierzem. Ich stanowisko jest bowiem rękojmieniem, nieustępliwością w walce o Polskę, ono daje nam spokój potrzebny, by „nie drżać ręką, gdy przykładą karabin do oka" w walce z Niemcami.

I to musi wiedzieć opinia publiczna świata i to przede wszystkim muszą rozumieć członkowie Rady Narodowej.

Rada Narodowa jest ciałem nie przewidzianym Konstytucją. Jest sprawą Pana Prezydenta, czy pragnie w czasie wojny, gdy nie ma normalnej reprezentacji narodu, korzystać z takiego czy innego zespołu doradców. Instytucja ta pożyteczność spełniać będzie swe zadania, gdy żądać wzniesie się na odpowiedni poziom obywateli, gdy w ciężkich chwilach narodu, człowiekowie jej wykażą siłę intelektu i charakteru oraz należne poczucie odpowiedzialności, gdy potrafią uwolnić się od chęci robienia gorszących rozgrywek politycznych oraz od nacisków zewnętrznych.

Odgłosy dyskusji, która toczy się w sprawach wojska w Radzie Narodowej oraz jej ostatnia uchwała co do rzekomo niemożności łączenia w jednej osobie stanowisk Wodza Naczelnego i następcy Prezydenta nie świadczą niestety o wysokim poziomie obrad tej instytucji ani o poczuciu odpowiedzialności, ani o znajomości przez jej członków przepisów Konstytucji, ani wreszcie o wytrzymałości nerwowej.

Toteż żołnierz polski, który w tej chwili krwawi się we Włoszech, który wytrzymał nie tylko nacisk nieprzyjacielskich oddziałów, ale i ostrzał wrogielce propagandy, nie zawiodł, a przeciwnie dał polityce polskiej nowe ważne argumenty dla obrony naszej racji stanu ma prawo wymagać, aby wysiłek jego umiano wykorzystać dla Polski. Ma prawo w tej chwili również żądać, aby doradcy Pana Prezydenta zaoszczędzili mu wiadomości o smutnych rozgrywkach wewnętrznych, o wykorzystywaniu przez wrogie czynniki nieodpowiedzialnym stanowisku Rady Narodowej.

## Od redakcji

Zaczynając od dzisiejszego numeru zmuszeni jesteśmy zmniejszyć format „Orzeła" z przyczyn od redakcji niezależnej dostarczenia nam papieru w mniejszym arkuszach przy nie zwiększonej, niestety liczbie arkuszy. Będziemy się starać w miarę pokonywania trudności techniczne wynagrodzić to Czytelnikom przez szersze zastosowanie drobniejszych czcionek (petit), tak aby pojemność pisma nie doznała uszczuplenia.

Fotografie na str. 1, 3 i 9. — wykonano F. Malinik.

KLEMENS RUDNICKI

# BITWA POLSKIEGO KORPUSU O MONTE CASSINO

(Wspomnienie osobiste z przeżyć Kresowej)

Wspomnienie niniejsze, pisane z jednego odcinka „na goręco” na prośbę redakcji, nie może być traktowane jako naukowe studium bitwy. Podstawę oceny całości działań Korpusu jest opinia jego Dowódcy, która przed i po bitwie traktuje wszystkie oddziały jako nierozważną całość.

Z uwagi na fachowość autora tych wspomnień, jak i rolę przezeń odegraną, uprosiliśmy Go o bardziej szczegółowe studium bitwy, które ogłosiśmy w przyszłości. Red.

Nie jest jeszcze pora po temu, by odczytać historyczny przebieg bitwy o MONTE CASSINO i wiernie oddać jej przebieg. Tak jest jeszcze relacji uczestników na wszystkich szczeblach oraz innych ocen i rozważań wydarzeń, które dopiero w perspektywie czasu dają wytwór.

Kiedyś zimny historyk, z cyrkiem i wąsami powie nam, jak to naprawdę było. Powie, kto i co zrobił w tej bitwie, jakich błędów i bohaterstwach wyszczególni, czy popełnił błędów, które są również nieodłącznym towarzyszem pracy żołnierskiej.

Dzisiaj można mówić jedynie o bitwie jako całości, można naświetlić jej znaczenie w ogólnym planie przełamania LINII GUSTAWA oraz o tym niezmiernym, ludzkim wprost wysiłku żołnierza 2. KORPUSU, który nie zwąażając na krwawe straty, na niesamowite trudności, nie spoczęła i nie ustąpiła w żadnej z operacji znanych z historii, w ciężkim, kilkunastodniowym boju, niespodziewanym uporem i zacietością zwyciężyła i bitwę tę wygrała oraz zadanie wykonała.

Kompleks masywu górskiego MONTE CASSINO wznosi się na kształt gładkiej ściany daleko w dolinę rzeki RAPIDO i stanowi jakby wysunięty w przód forteczny punkt oparcia swą groźną postać w dolinie rzeki LIRI, jedynym kierunku możliwym dla porównania dużych sił w marszu na nieustawioną LINIĘ HITLERA i RZYM.

Kto nie zdobędzie masywu CASSINO, nie może marzyć o ruchu naprzód doliną LIRI. Ta rzecz była znana od dawna. CASSINO przed wojną było klasycznym przykładem operacyjnej i przedmiotem studiów dla włoskiego sztabu generalnego.

Rzeczywistość potwierdziła tylko teoretyczne studia. Gdy zwycięska ofensywa aliancka na froncie włoskim doszła do naturalnej twierdzy Cassina — musiała na całej długości frontu zatrzymać się, gdyż każde ruszenie naprzód było możliwe jedynie pod warunkiem zlikwidowania tej groźnej pięści, flankującej dalszy marsz.

W tym oświetleniu jasne się stało, dlaczego od szeregu miesięcy tak złośliwie, bez powodzenia boje toczyły się o CASSINO. CASSINO było na ustach wszystkich, zajmowało główne miejsce w komunikatach i sprawiało wszystkim wiele kłopotu.

Albaneta, wzniesioną głęboko w dolinę Maioli.

Wzgórze Widmo i Colle St. Angelo tworzyły dwie głębokie kolejne pozycje obronne, ufortyfikowane od szeregu miesięcy, kryjące szereg niespodzianek w swym tajemniczym układzie i dające po ich opanowaniu jedyną możliwość odcięcia pięści i zgniecenia jej.

Każdy z tych przedmiotów natarcia w wymagał sił jednej dywizji, każdy jest ważny, przy czym jednak kluczem całości jest wzgórze ANGELO, gdyż opanowanie go stawia obronę góry klasztornej w gorszej sytuacji i niejako przygotowuje ją i nadwęża system jej obrony i czyni podatniejszą na atak.

Ktoś z dywizji Korpusu dać to zadanie? Karpackiej, czy Kresowej? Obie równe sobie siłą i ambicją. Rozstrzyga to los na historycznym ciągu wężerków osobiste przez dowódców dywizji z ręki generała Andersa.

przez npl, o szerokości około 5 km. Największą jednak trudnością było flankowanie podstaw wyjściowych i kierunków natarć przez ogień npl.

Dywizje wychodziły do uderzenia jakby z szerokiego półkola, którego lewe ramię stanowiły pozycje atakowane, środek zaś i drugie ramię zagładywały w bok i tył prawoskrzydłowej Kresowej dywizji. Stąd też nacierał, zwłaszcza kresowiak, liczyć się — musiał z dostaniem ognia nie tylko z frontu, ale i z boku i z tyłu. Czy żołnierz nerwowo to wytrzyma? Czy uwierzy nacierając w przód, że te pociski, które z tyłu i z boku nadchodzą, są również nieprzyjacielskie?

Oto, jak wyglądała drobna cząstka tych wszystkich trudności, które w każdej bitwie zawsze istnieją, ale które w tej właśnie spotęgowane były do maksimum, tak jakby los umyślnie chciał wypróbować polskiego żołnie-



Po zdobyciu Cassina gen. Leese składa gratulacje Dowódcy 2. Korpusu polskiego gen. Andersowi

Los wybrał Karpacką na Klasztor, Kresową na Angelo.

I rozpoczął dywizje swoje prace przygotowawcze, zmudne ćwiczenia, mające na celu przygotować oddziały do czekających ich zadań w boju. Zwalczenie bunkrów ładunkami, wytyczenie ścieżek po nocach i rozbrajanie min, działalność zespołów szturmowych itp. W sztabach znów wrzasa praca nad odcyfrowaniem zdjęć lotniczych, map, nad stołami plastycznymi, układaniem pianów ogni artylerii i moździerzy i zgrania ich z ruchem piechoty. Słowem wszędzie dążność do solidnego przygotowania się do oczekującego zadania.

Okoliczności spowodowały, że moment chęci zaskoczenia, tak ważny w każdej akcji, przeważa i stał się ważniejszym od dokładnego wykrycia pozycji npl. Obok niewątpliwych korzyści kryło to jednak w sobie groźbę niespodzianek, których paraliżowanie trzeba będzie odłożyć na reakcje dokonywane w samej bitwie.

Następną trudnością w przeprowadzeniu tej bitwy były jej komunikacje. Podstawy wyjściowe dla obu dywizji leżały w wąwozach, jarach i zboczach rejonu wzgórz Maioli z doprowadzającą do nich jedyną ścieżką górską, udośćpioną dla łazików i widoczną jak na dłoni przez npl. Ta jedyna ścieżka zwiędzć trzeba było tony amunicji, zapasy wody i żywności i to tylko po nocy, ażeby ukryć przed nplem ruch i zmiany. Aby się do niej dostać, trzeba było przebyć dolinę widoczną

za tułacza. Oto załazek kryzysów, tych nieodstępnych towarzyszy w bitwie, których szczęśliwe przetrwanie przynosi dopiero zwycięstwo. Czy kryzysy te żołnierz przetrwa? Oto pytanie nurtujące duszę każdego dowódcy przed akcją. Tym większe jednak zacięcie i napięcie woli zwycięstwa ogarnęło wszystkich. „Sprawa Cassina jest sprawą polską” — powiedział Dowódca Korpusu — żołnierz wie, że musi zwyciężyć i zwyciężył.

Noc 11 na 12 maja jest początkiem działań. Baony piechoty od 24 godzin ukryte w rozpadlinach Majoli wypelzają na stanowiska wyjściowe przy akompaniowaniu potężnego huku artylerii i moździerzy, gniotących przez 40 minut artylerię i moździerze npl.

Po 40 minutach nawały ogniowej kierują się już bezpośrednio na pozycje npl — piechota w ślad za patrolami ścieżkowymi podrabia się na odległość szturmową. Wreszcie o godz. 1 rusza do szturmu. Gwałtownym skokiem wpada pomiędzy bunkry niemieckie, następuje niezliczona ilość walk wręcz, bagnietem i granatem ręcznym na „Widmie” i wzgórz 593.

Piechota ma powodzenie. Po żarzącej walce wybija Niemców i zalega na chwilę na zdobytym przedmiocie, by uporządkować się i ruszyć dalej.

Wtem wpada na nią nawała ognia. To npl zorientowały się w położeniu przygotowuje przeciw natarciu.

Piechota leżąca na odkrytej pozycji jest zasypana pociskami lecącymi ze wszystkich stron. Zaczynają wyszczerbiać się szeregi, rwie się łączność, po-

przerzywana pociskami, zrabana radiostacja, z nikim łączności. Co się to stało? Dotychczas tak sprawnie wszystko szło — zaczyna się ten i ów niepokoić. Ktoś poddaje, że to własna artyleria pomyliła się — nie wie zapewne, że opanowaliśmy „Widmo”, że tu siedzimy i bije po nas. Na gwałt rakiety — „wydużyć ogień”. Nie pomaga! Ba, nawała zwiększa się! Nie! To jakieś nieporozumienie, pomyłka, tak nie można! Chłopczy drodzy, jak bardzo trzeba was rozumieć w takim momencie! Wiemy, jak trudno wam to uwierzyć, że to nie własna, a nieprzyjacielska artyleria kładzie ogień zaporowy i zapobiegawczy, przygotowany na taki właśnie wypadek, gdy zajęliście pierwszą pozycję obronną npl. Trudno wam uwierzyć, bo bije na was z tyłu i z boku, a jednak to prawda — na was strzelała tylko artyleria npl — nie inna. Winne temu te cholerne warunki, w jakich daliśmy wykazanie się żołnierzowi polskiemu.

Gdy więc w takich warunkach ruszyło nado przeciwnatarcie npl — miało ono sukces. Krwawą i ociągającą się piechota spłynęła na stanowiska, skąd wyszła. Jedni wcześniej, inni później, ci, bardziej zacięci, dopiero w południe 12 maja. Byli i tacy, którzy utrzymali się aż do nocy na zdobytym przedmiocie, nie dając się wyrzucić. Ilekż tam zwycięstw musiałoby być stoczonych, o których ich świadkowie nigdy nam już nie opowiedzą? Ilekż goryczy i rozczarowań przeszedł tam nasz żołnierz, a jednak nie zalażał się, tylko jeszcze większą zacietością wstąpiła w szeregi. Pojdą po raz drugi!

Dzień ten przynosi jednak swoje owoce. Piechota walką wręcz wybija dostojnie obsadę pierwszej linii nieprzyjacielskiej. Później będzie ona już słabsza, gdy się do niej dobraćze. Stawiać musi się pozbawiać swoich bezpośrednich odwodów, by nimi zapłacić szczyby. Wiemy dobrze, że go ubyłoby sporo. W zabitych i jeńcach ma poważne straty w tym pierwszym zwarciu z polskimi żołnierzem.

Poczekaj, przyjdzie drugi!

I przyszło w dniu 17 maja.

Czas pomiędzy 13 a 17 maja zużyty był w KRESOWEJ na dokładne wyszukanie i rozpoznanie oraz ustalenie źródeł ogni npl, na wstrzelanie się artylerii, teraz już na wykryte stanowiska. Ażeby zrobić to lepiej, wychodzą dnia 15 maja wypadły na przedpole, przed światem, na „Widmo”. Podsuwają się wachlarzem pod bunkry. No, teraz odczewisz się Niemcy, pokazicie, gdzie wasze stanowiska ogniowe — strzelajcie na nas — a tam, z tyłu, obserwatorzy notować będą skrzętnie i wcinac wasze stanowiska — by przy drugim natarciu nie marnować pocisków. To nic, że ktoś rył z nas coś oberwie, to się opłaci dla całości.

Wreszcie, dnia 16 maja w nocy morderczy ogień artylerii na „Widmo” i wyznaczona jedna kompania piechoty jednym skokiem wdiera się na „Widmo”. Szybko wybija obsadę bunkrów w swej okolicy. Obok niej staje następna i rozszerza powodzenie. Wreszcie, ani się npl. nie obejrział, jak znówu „Widmo” w rękach tym razem łowiaków.

Npl zdeorientowany; jest jeszcze noc, nie odważa się jeszcze pracować artyleria na zdobytą „Widmo”. Może tam są jeszcze własne oddziały? Zato pierze przed „Widmo”. To jest jednak mniej szkodliwe, tym więcej, że teraz artyleria nasza zaczyna kłaść

(Dokończenie na str. 8 i 9.)

MARY ROUPPERTOWA

# W Londynie przed pół wiekiem

Dom przy Beaumont Square — „Bomontem“ zwany  
Glasgow, laty 1944 r.

Gdy byłam zeszłego — 1942 — roku w Londynie w poszukiwaniu śladów po klubie PPS z przed kilkudziesięciu lat, zawędrowałam na Mile End Rd. i tuż obok znajdujący się Beaumont Square w dzielnicy Whitechapel. Jeszcze przed wojną słyszałam, że dom pod Nr 7 Beaumont Square, w którym mieszkaliśmy z rodzicami, został już rozebrany. Byłaby to zwykła koźmi losu domów budowanych na ziemi wydzielonej przez wielkich właścicieli na 99 lat. Poszłam więc to sprawdzić. Tymczasem znalazłam dom, a właściwie tylko frontowe ściany tego domu z dawnymi drzwiami, a na nich numer 7. Rozejrzałam się wokół: — Tak jest, to jest ten sam placzyk z ogródkiem pośrodku, a na którym bawiłam się z dziećmi sąsiadów jako młoda dziewczynka, do furki którego podchodziła moja matka, by mnie zawołać do domu.

Matka moja przywędrowała do Londynu z dalekich stron — bo aż z Polesia — opuszczając swą rodzinę i przyjaciół, by podążyć za mężem. Mąż jej, a mój ojciec — Bolesław Jędrzejowski, jako członek socjalistycznej partii „Proletariat“, istniejącej przed PPS, musiał opuścić Warszawę wobec groźby aresztowania i na parę dni przed matką już był przekroczył granicę. Rodzice zajechali po dłuższej tułaczce aż do Londynu, gdzie ją wkrótce przysłałam na świat.

Pierwsze moje wspomnienia najwcześniejszego dzieciństwa związane są z Beaumont Square. W tej chwili, gdy po tylu latach znalazłam się znów na nim, było tu zupełnie cicho. Wcześniej był ciepły, po upalnym dniu sierpniowym. Nie było wcale zwykle

dawniej bawiących się tu dzieci. Prawie wszystkie domy dokoła były zburzone, ale stało się to dopiero podczas ostatnich nalotów na Londyn.

Drzwi wejściowe „naszego“ domu wydawały mi się mniejsze i jak gdyby zapadłe w ziemię. Tuż przy drzwiach wejściowych rosło wielkie drzewo. Tak samo wielkie mi się wydawało, gdy na nie patrzyłam przed laty. Po oknach pozostały tylko puste otwory. Przypominałam sobie patrząc na te martwe dziury, że matka mi opowiadała, jak to, gdy im głoł już na dobre zaczął łokaczkać, ktoś upadł na myśl zebrania i spieniężenia zagranicznych znaczków portowych. Prowadził przecież ten o dział PPS, a właściwie mój ojciec, jako jego sekretarz, rozległa korespondencję z egzotycznymi krajami.

Rzucili się więc wszyscy wycinać marki. „Jehwalli, że pani „Oska“ (tak moją matkę nazywali skracając jej nazwisko Jędrzejowska) pędziła sprzedawać te marki. Nie wiadomo jednak iluzo — może marka nie były tak egzotyczne dla Anglików, jak się im wydawało, dość że wracała matka z markami i ciężkim sercem do domu, a gdy skręcała z ulicy głównej na skwerek, zobaczyła we wszystkich oknach domu Nr 7 głowy wyglądających, głodnych, pełnych nadziei towarzyszy.

Gdy tak myślałam o tych innych, pełnych życia okresach, podeszła do mnie Żydówka w średnim wieku, zaciekawiona, czego tak wypatrzyła i kogo szukam. Powiedziała mi, że pamięta, że w tym domu mieszkali kiedyś... Rosjanie. „Nie Rosjanie, a Polacy“ sprostowałam. „Tak i ja jestem z Warszawy, moja matka mieszka tam jeszcze“ — powiedziała mi. Pożegnaliśmy się już po polsku. Życzyła mi szczęśliwej podróży, mając oczywiście na myśli podróż do Polski.

## HISTORIA W OCZACH DZIECKA

„Widok „Bomontu“, w którym spędziałam moje pierwsze lata dziecięce, nasunął mi plastycznie zapamiętane wspomnienia o ludziach, którzy przeszli do historii partii i narodu.

Patrzyłam na tych ludzi, emigrantów politycznych z Polski w Londynie, oczyma dziecka. Nieraz nie rozumiałam, o czym mówią, szczególnie w pierwszych latach dzieciństwa, przyszłuchałam się jednak ich dyskusjom z zainteresowaniem. Fascynowało mnie wówczas przejęcie, z jakim mówili i ich żywa gestykulacja. Wzrastając wśród nich, z biegiem lat coraz więcej rozumiałam z tego, o czym mówili, a nastroj i atmosfera wywarły na mnie swój niezaparty wpływ. Gdy weszłam potem w środowisko innych ludzi, stwierdziłam że zdziwieniem, jak niektóre pojęcia były mi obce. Określenie przez babkę kogós, jako „biedna panna“ wydawało mi się bez sensu. Żeby powiedzieć np. *mydła* albo *głupia*, ale „biedna“!

Byłam przez dłuższy czas jedynym dzieckiem w naszej kolonii. Ojciec mój był młodym ojcem, a towarzysze byli w większości kawalerami. Zajmowali się mną i bawili się ze mną w wolnych chwilach i każdy „wychowywał“ jak umiał. Uczyli mnie, żeby na pytanie „któ ty jesteś“, odpowiadać „socjalna demokratka“, aż kiedyś komus to socjalne uświadomienie zmudziło się i orzekł: „Jestes sojalna pokraką, a nie żadną demokratką!“ Za to, co ja miałam się z nich nawzajem wobec moich szkolnych koleżanek. Za ich ubiór, różniący się od ubioru Anglików, za ich głośne rozmowy na ulicy, za trzy-

minie ręk z tyłu, a już gdy któryś z nich przyjechał w czapce futrzanej, to wówczas uliczny biegli za nim, a mój męki nie miały granic. Nie miałam o nic żalu, nawet o „po krakę“. Czuję się wśród nich szczęśliwa, a nie szczęśliwszą, gdy któryś z „towarzyszy“ dał mi farthing albo nawet całego hpeny. Biegłam wówczas czym prędzej do sklepiku i kopowałam sobie cukierki w. (Dziś takich cukierków miałabym szukać w sklepach „Old Fashion Sweets“). Ale te ich ubioru!

Na parturze była drukarnia. Stylałam „kasdy“ z czcionkami. Towarzysze skłabali ręcznie matrymi i liniami kolumnne druku, stanowiąc jedną stronę. Następnie kolumnę owinęływaszarnikiem, smarowano drukarską farbą i po przyłożeniu papieru szczołką obijano korekte. Korekty wędrowały do mojej ojca do kancelarii na pieterku. Bardzo lubiłam chodzić do drukarni na poranne loki, ale jak już zanadto przeszłałam, zwykle mnie stantąd wystraszano groźbą, że zrobią ze mnie „korekte“. Przez drukarnię na dół była kuchnia, miejsce zebrania dyskusyjnych i towarzyskich. Moja matka w niej gotowała posiłki. Ta było najcieplej i wszyscy się tu zbierali wieczorami. W kuchni był umirowany kredens, pamiętam tym dla mnie, że w ledżej z szafki zawsze był schowany kawałek chleba ostutni, który matka tam chowała z miłą o mnie. Jedynie Felek (Perł) miał jakieś przekonanie, bo gdy schodził do kuchni z zapewnieniem: „Nie macie co jeść, pani „Oska“,“ zawsze kładł koło tej szafki.

## PAN WIKTOR OPOWIADA

Pewnego dnia zrobił się niezwykle ruch. „Wiktor przyjeżdża!“ (Taki był ówczesny pseudonim Józefa Piłsudskiego). Przybyli więc towarzysze z dalszych okolic Londynu, wszyscy bardzo ciekawi, bo Wiktor będzie opowiadał. Było wówczas wielkie zebrańie. Usiedli wszyscy dokoła kominika w tej właśnie naszej kuchni i Wiktor opowiadał. Wszyscy stuchali z napiętą uwagą do późnej nocy. Już wtedy pan Wiktor, nawet w moich oczach, był postacią wyróżniającą się. Nie zapomniałam go, jak wielu innych „facetów“, przyjeżdżających nie wiadomo skąd i wyjeżdżających nie wiadomo dokąd.

W tym okresie matka musiała stać się z mną walki o dodatek „pan“. Ze dla mnie to jest „pan Wiktor“, „pan Felek“, „pan Wojtek“ (Wojciechowski, Prezydent Rzeczypospolitej 1922—26), „pan Witold“ (Jodko-Narkiewicz), „pan Michał“ (Silkiewicz).

Pamiętam, jak pan Wiktor chodził po kuchni i w używieniu opowiadał. W pewnym momencie zauważono, że pan Wojtek, siedzący z braku krzesła pod ścianą na podłodze, zaczął zasypiać. Powiedzano mu więc „Wojtek, idź spać“, ale on się bronił: „Jak ja póję spać, to właśnie Wiktor opowie coś nciekawszego“. Muszę trochę pana Wojtkę wytłumaczyć. Był on jedynym w naszym domu, który wstał wczesnym rankiem, kiedy moja matka zapalała ogień w kuchni, a czasami ją nawet w tym wyręczał. Porażał nwet wyszorować podłogę w kuchni, a stanując potem swój wysiłek, wycierał mój jej kotce łapki (sławnie na Beaumontie „Pussowego“), gdy wchodziła z dworu zabłocona. Mu-

siął wstawać najwcześniej ze wszystkich, gdyż miał zajęcie poza naszą kolonią.

## Walki byków

Przypominam sobie jedną scenę między panem Wiktorem a panem Wojtkiem w korytarzyku, między drzwiami a kuchnią. Przez jakiś czas staczo w tym korytarzyku to wówczas wśród towarzyszy to „walkę byków“. Z prerażeniem przglądałam się walkom i obawiałam się, że dom się zawali, gdy pod ściankami walczących, opierających się o ściany, cały dom drżał. Otarł mi się żywo wałkę między panem Wiktorem i panem Wojtkiem. Pan Wiktor był zwycięzcą, gdyż przyciskał pana Wojtkę głową do ściany. Gdy szłam po moście Poniatowskiego w maju 1926 r. i słyszałam chodzące odgłosy walczków, przypomniałam sobie „walkę byków“ sprzed laty...

W kancelarii nie było biurka, tylko duży stół, przy którym pracował mój ojciec robiąc korekty i pisząc artykuły do redagowanych przez siebie ówczesnych wydawnictw PPS: „Swiata“ i „Przedświutu“. Na tym stała prasa, pod którą ojciec kopował listy. Zebrało się tych kopiał bardzo wiele. Zabrane z archiwum PPS do Warszawy, miały być opracowane w Biurze Historycznym, ale pewnie już nie ma po nich śladu. Na ścian wisiły portrety „Proletariackich Waryńskiego, Kunickiego, Bardowskiego. Pamiętam, jakie wrażenie i mnie zrobiło, gdy mi ojciec powiedział: „Moskale dwóch z nich powiślij, a jednego skazali na katorgę“.

## WIGILIA W „BOMONCIE“

Z kancelaria łączy się wspomnienie wielkiego zdarzenia w moim dzieciństwie — wigilia 1897 r. Przyjechał wówczas pan Witold ze swą narzeczoną, a późniejszą żoną, panią Marią i musiał być otrzymać jakąś większą sumę pieniędzy od swej rodziny, bo wyprawił święta. Wszyscy otrzymali o niego prezenty. Ja dostałam wspaniałą lalkę! Coś cudownego! Dotychczas takim cudom przylądłam się gniotnąć nos o szyby wystawowe. Towarzysze podostawali, jak mnie się zdawało, mniej efektowne prezenty, jak rękawiczki, portfele. Pan Witold sobie kupił... rewolwer!

Przy tej uroczystości musiał być oczywiście i alkohol. Kielis zabawa doszła do szczytu, pan Witold dał dwa szlafy do drzwi prowadzących na klatkę schodową. Na pamiętkę tej niezapomnianej dla mnie zabawy pozostały w drzwiach dwie dziury po kulach.

Wśród obecnych był p. W. S. — poznańczyk, który lubił śpiew i na przebie chciał zapimierzować chór. Śpiewali kolędy, a następnie przeszli do pieśni rewolucyjnych. Pan W. S. zaintonował „Na Barykadę“. Cóż kiedy pan Felek był w zupełnie innym, mniej uroczystym nastroju i ilekroć W. S. zaczął „Na Barykadę“, to pan Felek zaczął śpiewać strasznie zresztą fałszując „Sei nicht böse“, piosenkę z mojej wówczas operetki „Stygar“. Nie nie pomogło wymyślenie W. S. Pan Felek się uparł i charakterny śpiew rewolucyjnych pieśni nie dał się.

## Pan Felek

Dotychczas mam przed oczami postać p. Felka, z założonymi po mpolnisku rękami, z czarnymi, długimi

włosami spadającymi na kołnier spiewającego i odtwarzającego jakieś fantastyczne „pas“ swojego pomysł. Przypominało to trochę „jig“ tańczonego w owych latach na ulicy przez młode dziewczyny przy drzwiach katarynki. Nazajutrz, wedle zwyczaju, pan Felek spał prawie całe dni. Wstawał on, ku zgorzneniu mojej matki, o 4 rano. Przez jakiś czas używał on jednej marynarki moim ojcem. Ojciec często pokazywał, że on sam wyciera prawy łokieć bo pracuje i pisze, a Felek ten w śnie lewy, bo tylko się podpiera i mśli. Tak ojciec żartował, jako że z mniem Felkiem należeli do grona najbliższych przyjaciół, do którego grona należał p. Wiktor i p. Witold.

## „Grand - Hotel Bomont“

Na najwyższym piętrze były dwa pokoiki. W jednym mieszkali moi rodzice ze mną, a w drugim towarzysze. Przejżdźni. Gdy siec rosyjskiej „ochrony“ zaczęła się koło któregoś z nich, zajętego pracą nielgalną w Polsce, zacisnąć, wyjeżdżał na jakiś czas za granicę. Zatrzymywał się często w Londynie i najczęściej w naszym domu. Matka moja poświęciła swoje wyprawowe przecieradła, które się podarły na okropnych siemkach. Niejednokrotnie pręła ich bielizne do późnej nocy i miała te saty faksje, że dzięki jej pracy, w naszej najcześniejszej kolonii nieraz było chłodno i głodno, ale panowała czystość i porządek. Wszyscy byli młodzi, pełni zapału i ideałów, dzięki czemu znosili przeciwności losu z pogardą. Właśnie w tym pokoju towarzysze zostali wykonane zdjęcie obecnym wówczas w Londynie działaczy PPS.

(Dokończenie na str. 5.)

# W Londynie przed pół wiekiem

(Dokończenie ze str. 4.)

kuchnię wówczas zajmowali pp. Dębscy.)

\*) Aleksander Dębski, który wyjechał potem do Ameryki, skąd wrócił do wolnej już Polski. Był przez pewien okres czasu posłem do Sejmu.

## ŻYCIE TOWARZYSKIE I BALE

Wódecz towarzyszy, pracujących w garni i bardzo bliskich przyjaciół, szkodzących najczęściej w tym samym domu, bywali i goście. Piewszymi wiatami pp. Mosciekich. Pamiętam najstarszą córeczkę Zosię, która była jeszcze w Londynie. Pamiętam wyjazd do Swajcarii z dwójkiem ci, Michałem i Helenką w kołose. Ja moja czuła się bardzo osamotniona po wyjeździe pani Mosciekiej, nie miała żadnej innej przyjaciółki wolonii. Później dopiero przyjechała p. W. S. z dziećmi i pani dewska z mężem. Matka moja zżyła się z tymi paniami. Rozłożyła się również życie towarzyskie. Dobrze pamiętam wyprawy kłopotów do Klubu P.P.S. w okolicy Echapel. Śladów tego klubu szu-

kałam w Londynie w lecie 1942 r. Urządzano w nim obchody, przedstawienia amatorskie, zorganizowano chór, a co soboty odbywały się tam tańce. Ci, którzy chcieli z moją matką tańczyć, musieli się postarać o tancerza dla mnie, bo inaczej mocno się sukni matki trzymaliśmy i nie pozwoliliśmy jej od siebie odejść. Znajdowała i się ofiarę i ja, nie tyle wsparta na ich ramieniu, ile trzymająca przez nich za obie ręce, uszczęśliwiona krążyłam po sali. W repertuarze chóru prócz pieśni rewolucyjnych były również i pieśni patriotyczne. Dzieci pp. W. S., które pojechały z rodzicami do Warszawy, przeżyły wielkie rozczarowanie, gdy zobaczyły szarą Wisłę, o której śpiewały, że „modra płyynie po polskiej krajinie”.

## NAUKA I POLISCE

ale nasze młode pokolenie było w dobrej drodze do wynarodowienia. W tym pan Ziuk (Józef Piłski) wyjeżdżając do Londynu w 1917 r. ze swoją pierwszą żoną, panią Marią, na dłuższy pobyt przyniósł wiele polskich książek. Między innymi były prawie wszystkie powieści zewskiego, którymi z zapalem czytałyśmy się. Ponadto pani Maria była z mną lektorką polskiego, historii i geografii. Odbywały się one nie na „Bomonicie”, a w domu zwanym „Lingwood” (67 Coalworth i Leytonstone London N. E.). Rodzice sprowadzili się wraz z kancelarią i kancelarią w 1900 roku. Oni bardzo cieszyli się z tej zmiany z okolicy „slumów” londyńskich i przeprowadzili się na przedmieście i nawet blisko lasu (Epping Forest). Do tego lasu klub urządził

potem „majówki”, które cieszyły się wśród towarzyszy wielkim powodzeniem, a pp. W. S. często do nas przyjeżdżała na niedzielę z całą dzieciną, traktując te wizyty, jako wycieczkę „week-endową”.

W kolonii naszej był już wówczas p. Tytus Filipowicz. Gdy przyjechał, miał 19 lat. Pilnie studiował on na londyńskim uniwersytecie i był moim pierwszym nauczycielem polskiego. Już mu tego nie pamiętam, że był srogim nauczycielem, bo też i ja byłam niezbyt pilną uczennicą. Z panią Marią sły lekcje bardziej pogadankowo. Pan Ziuk, który często bywał obecny przy lekcjach odpoczywając lub czytając, dodawał często swoje uwagi. Najwięcej jednak pamiętam jego serdeczny śmiech z mojej polskiej wymowy z angielskim akcentem.

## „ANGLOFILE” I „ANGLOFOBI”

Ja jednak i ja swoje chwile miałem, gdy siedząc u niego na kolacji czytałem go angielskiego, „meberlitz” i nigdy nie byłam zadowolona z jego akcentu. O tym wspomniałem często w późniejszych latach opowiadał przy tym, jak to odczuwał znajomość angielskiego języka. „Jak Witold mówił, wszystko miałem, że słabo mówił; tolek mówił, że bardzo mało rolałem tzn., że dobrze mówił, a tary mówiła, to nic nie rozumiałam. W opowiadaniach tych Marszałkowskich, przyjaźnił się latami „młodych”, a śmiejąc się dodawał: powiem czyich lat dziecinnych, myślą, że się tak dobrze trzymasz”. W poprzednio na Beaumont, tak na Lingwoodzie, dyskusje przednie odbywały się w kuchni, które jednocześnie była jadalnią. Było to w okresie wojny burskiej. Pan i tutaj był duszą dyskusji. Pan, jak wyjmował zegarek i udzielił każdemu, dając tylko pięć czasu. Wydawali mi się wszyscy bardzo mądrzy. Nie śmiałam wówczas wątpić w mądrość dorosłych i wiałam, że tyle mają do powiedzenia, że aż trzeba ich w tym ograniczać. Jednak rozumieć, że mój ojciec, co bym dziś określiła — „Pierwszy. Ojciec np. twierdził, że Bu-

rowie będą szczęśliwi należąc do Imperium Brytyjskiego. Podnosił się na to głosy oburzenia: „Jak to? ty, niepodległościowiec to mówisz?” Następnie, ale to już w Krakowie, ojciec mówił do mnie, że jak Polska będzie niepodległa to co mocno wierzył, to „wzięcie sobie Anglików, żeby was nauczył organizacji”. Anglofilstwo ojca można by tłumaczyć jego własnym zdaniem, które kiedyś powiedział: „Z innych krajów mnie wypędzano, w jednej Anglii pozwolono mi żyć spokojnie”. Rodzice po opuszczeniu Warszawy zamieszkałi w Londynie, gdzie ja się urodziłam, ale gdy miałam parę miesięcy, próbowali rodzice zamieszkać po kolei w Berlinie i w Paryżu. W Berlinie bardzo przedko ojca zarezerwowano i nawet matkę z mną zatrzymano w więzieniu przez krótki czas. W Paryżu nie pozwolono im dłużej mieszkać. Matka chodziła do Clemenceau z prośbą o pomoc w tej sprawie, ale on odmówił interwencji. Wróciliśmy więc z powrotem do Londynu, gdzie ojciec, mimo młodego wieku jak gdyby senior PPS-ów, mieszkał 12 lat. W Paryżu jednak, a nie w Londynie, zostało P.P.S. założone. W mieszkaniu moich rodziców odbyło się zebranie organizacyjne i wówczas już „stary” Limanowski stanął nade mną i kiwając głową powiedział: „Pierwsze pokolenie PPS-owe”.

owo trzeba by kupić, otrzymała od ojca sroga odpowiedź, że partia to nie koryto.

Źródłem dochodów były pieniądze otrzymywane za tak zwaną „bibułę” sprzedawaną w kraju. Nazwa ta pochodzi stąd, że nielegalne dla zaboru rosyjskiego wydawnictwa były drukowane na specjalnie cienkim papierze — bibule, by móc je łatwiej ukryć przy sobie i przewieźć przez granicę. Można sobie wyobrazić, jakie to było bogate źródło i co ważniejsze, jakie pewne i regularne! O zarobku u Anglików trudno było myśleć. Stała temu na przeszkodzie nieznanomość języka angielskiego, ponadto wielu towarzyszy przyjeżdżało na bardzo krótki czas. Wyjątkiem wśród tych, których ja znałam, był p. W. S., który przez jakiś czas pracował, i to w drukarni rosyjskiej u „Tolstojowców”. Mimo tego, a może dlatego woleli czasami zamiast jedzenia napić się wiskiwni. Z rozmów musiałyśmy wynioskować, że to coś dobrego i chcąc raz spróbować napiliśmy się przez pomyłkę jodyny.

## ZECER ROZTARGNIONY

Więc Beaumont Square nazywano „Bomontem” i następnie „Lingwood” były to dwie siedziby londyńskiego emigracyjnego P.P.S. Na Lingwoodzie też była drukarnia i tu pewnego razu wyprowadziłam z cierpliwości Tadeusza Bobrowskiego, gdy mu opowiadałam w drukarni przy pracy o swojej koleżance, że ma jasne włosy i niebieskie oczy. Wszystko to poskładał i musiał potem „rozbić”. Ja już wówczas „korekty” się nie bałam, ale miałam młodszego brata, dla którego wymyślono innego straszaka — „zabianie w ramę”. Drukarnia się wzbogaciła: kolumny już nie wiano sznurkami, lecz umieszczało się w dużych, żelaznych ramach, wzmacniając drewnianymi kołkami i posyłało do drukarza do ostatecznej odbitki. Pamiętam kłopoty z rachunkami drukarni. Ojciec nieraz dobrze się nabiedził, skąd wziąć na nie pieniądze. Jednego roku chyba musiały być wszystkie zapłacone, gdyż otrzymaliśmy na Boże Narodzenie od drukarza tradycyjnego indyka.

## „Sixpence” i niepodległość

W Leytonstone już i ja zaczęłam brać „wydatny udział w działalności P. P. S. u”. Pomagałam mianowicie w ekspedycji „bibuły” i listów. Było też poczty nieraz bardzo dużo. Ojciec

pisal listy i pakował bibułę — kładł mi to wszystko do wózka dziecinne go mego brata z pościeleniem: „To wyślij „registered”, to wrzuc zwyczajnie, a tu masz pieniądze na marki”; po czym jechałam na High Street na pocztę. Ale raz widocznie za wiele złożono na moje barki, bo skończyła się wyprawa bardzo smutnie. Matka dała mi sixpence — całego sixpence, abym jakieś dodatkowe awrunki załatwiła, pewno coś do jedzenia. Na pocztę sixpence zginął. Wracałam do domu zrezygnowana, przygotowana na zasłużoną karę. Klapsy od matki, postawienie w kącie, może nawet ojciec będzie chciał mnie ukarać? Tymczasem stało się coś nieoczekiwanego. Nic z tego, co przewidywałam — tylko matka usiadła i zapłakała. Patrzyłam na nią z przerażeniem. Był to widocznie ostatni sixpence.

Mimo takich zmartwień i kłopotów czułam się całkiem szczęśliwa wśród towarzyszy. Byli dobrzy dla mnie wszyscy. Najwięcej słyszałam rozmów o „sprawie”, o pracy w kraju, o odbudowaniu niepodległej Polski, socjalistycznej oczywiście. W późniejszych rozmowach na te tematy z ojcem, przestrzegał mnie: „Gdy będziesz mówiła robotnikom o przyszłej, niepodległej Polsce, to nie obiecuj im od razu lepszych zarobków”.

## KŁOPOTY Z NAZWISKIEM

Przez jakiś czas męczyła mnie myśl, czy ja naprawdę nazywam się Jędrzejowska. Ojciec podpisywał artykuły B. A. J. (nazywano go Bajem); zauważyłam, że numery „Przedświt” lub „Swiatła” były podpisywane J. Kaniowski. Też podobno ojciec! Każdy miał jakiś pseudonim, trudno mi było już czasami się zorientować. Byłam nawet trochę rozczarowana, gdy mnie zapewniono, że nazywam się na prawdę Jędrzejowska, a ja myślałam, że i to pseudonim!

Różne tajemnicze historie działy się koło naszego domu. Carska ochrona przysyłała „szpiclów” do Londynu celem śledzenia działalności P. P. S. Prawie zawsze ktoś stał naprzeciwko naszego domu. Co się u nas z tego powodu nairytowano! Nieraz miał ktoś jechać do kraju, a tu szpicel obserwuje. Jak go omijano, jak się z pod jego czujnego oka wydobywano — nie wiem. Gadulstwa w domu nie było. W podobnej sytuacji „stary” Mendelson, który miał kancelarię adwokacką w Londynie, poradził sobie ze szpiclami w następujący sposób. Zawiadomił on policję, że stojący stale pod jego domem ludzie psują mu „business”. Skutek był natychmiastowy — szpicle zniknęli.

W 1904 r. wyjechałam z rodzicami

do Lwowa, następnie zaś do Krakowa. Między innymi pojęciami Angliki zdążyli mi wpoić swoje poszanowanie dla osobistego „freedom”. Moje oburzenie nie miało granic, gdy w Niemczech jakiś Niemiec stanął za plecami ojca, piszącego przy stole w poczekalni i najspokojniej usiłował czytać, co ojciec pisze. Rzecz dla mnie niepojęta!

Ojciec po przyjeździe do Krakowa prowadził wydawnictwo PPS „Życie” i założył spółkę nakładową „Książka”, grupując większość wybitnych autorów o sympatiach PPS-owych — Żeromski, Sieroszewski, Daniłowski, Strug, Kaden-Bandrowski i inni. Na krótko przed wybuchem wojny 1914 r. „Książka” podzieliła los wielu firm i zbankrutowała. W tymże samym roku ojciec umarł w Nervi, koło Genui, na gruźlicę, której się nabawił w więzieniu rosyjskim w Warszawie, dokąd pojechał w 1905 roku, by brać udział w pracach P. P. S.

Na wiadomość o śmierci ojca Komendant Piłsudski, który mówił o nim wielokrotnie, jako o swym największym przyjacielu, powiedział do mnie: „Ze też tak to się stało, że szkoda dla jego sławy, że nie możemy mu tu w Krakowie urządzić pogrzebu!”



# WOJNA CORAZ MNIEJ IDEOLOGICZNA

(Tygodniowy przegląd wydarzeń)

„To jest nowy materiał dla polskiej propagandy — powiedział ktoś o dziesiątej czterdziści, osiemnastego maja. Ten ktoś powiedział stanowczo za mało.”

Słowa te wyjmujemy z artykułu „Gońca Karpackiego” pt. „Patricze na wagi Ofira.” Ujmują one w sposób niezwykle trafny negatywną część zagadnienia, które wyrasta z bitwy o Cassino. Polityczne znaczenie tego zwycięstwa rzeczwiście nie polega tylko na tym, że daje naszej propagandzie nową broń do ręki. Żołnierz, który pod Cassino złożył jedną z największych w tej wojnie danin krwi, pragnął nie tylko obronić swój honor, ale chciał dać świadectwo prawdziwe, że w wojnie tej obecna jest Polska. Nie tylko odparł kłamstwo, że Polacy nie chcą się więcej bić z Niemcami, ale dał dowód, że Polacy zdecydowani są wyzwolić sobie Polskę. „Bijąc się o Cassino — biliśmy się o Polskę” — powiedział gen. Anders brytyjskiemu dowódcy frontu.

Ofiara nasza jest zbyt wielka, by miało nam wystarczyć restytuowanie naszego imienia, kalonego jak dotąd bezkarnie przez czynniki złej woli w świecie; — bitwa o Cassino i inne zwycięstwa, które czekają nasz oręż, mają nam wrócić to, co straciliśmy we Wrześniu — podstawę i sens naszego politycznego istnienia. Kto w naszych czynach bojowych widzi tylko zoologiczne i moralne cechy bitności, brawury i męstwa — krzywdzi nas, choćby nas chwalił. W obliczu śmiertelnego wroga dajemy świadectwo swej woli politycznej, a nie tylko zaletom serca, które można znaleźć także u Kafrow.

## Krew — kapitał polityczny

Ramię w ramię z wojskami polskimi walczyli i walczą nadal Francuzi. Odczytując na Zgromadzeniu Doradczym w Algierze depesze gen. Juin o odniesionych przez francuskie oddziały zwycięstwach, gen. de Gaulle, prezydent francuskiego rządu tymczasowego, powiedział: „Panowie, oto realia życia francuskiego i oto powód, dla którego — jak sądzę — Zgromadzenie zgodzi się z rządem w opinii, iż w tych warunkach jest rzeczą pewną, że żadna siła zewnętrzna nie zdoła wywodzić wpływu na los narodu francuskiego, który będzie taki, jakiego pragnie naród”. Wojskowy dziennik brytyjski „Union Jack” pisze: „Ludzie we Francji dowiedzą się o świeżej chwale, jaką okrył się oręż francuski w ataku na linię Gustawa i nabiorą nowego zapału pewni, że dzień wyzwolenia przywróci do życia nie zwłok, lecz żywy, krzepki kraj, spragniony kształtowania lepszego jutra i gotowy na nowo zasiąść w światowej radzie narodów”.

Francuzi dobrze wiedzą, że krew jest kapitałem politycznym, i dlatego świat nie skąpi im też potwierdzenia, że rachunek, jaki otworzyli sobie na froncie włoskim, będzie musiał być wyrównany.

Co do nas zaś, to minister spraw zagranicznych Rzeczypospolitej powiadaczył nam, że „bohaterki czyn żołnierza polskiego na Monte Cassino jest bezcenną pomocą dla sprawy polskiej”; gen. Alexander zapewnił nas, że „był to wielki dzień sławy dla Polski, kiedyście zdobyli tę wspaniałą fortecę, którą sami Niemcy uważali za niezdobywalną” i że „nie jest to tylko wspaniały początek, jest to wskazanie na przyszłość”, po czym stwierdził, że gdyby wybierać między „jakimkolwiek żołnierzami”, wybierałby nas; Naczelny Wódz powiedział nam, że „drugi Korpus okrył imię

Polski stawał nie przemiającą”, a wreszcie dowódca IX Armii gratulował nam „czystej roboty”. Po tych wszystkich dowodach uznania gen. Anders zawiadomił Radę Narodową, że „bijąc się o Monte Cassino, biliśmy się wyłącznie o Polskę”.

Jak aktualne było to przypomnienie, o tym może świadczyć mowa premiera Mikołajczyka do lotników, w której szef rządu polskiego stwierdził, że żołnierz polski udowodnił, iż „jesteśmy wiernymi sojusznikami”. Premier Churchill był w swojej ostatniej mowie jeszcze ostrożniejszy — choć pełen uznania dla naszych zalet bojowych — i powiedział, że „nic nie może przewyższyć waleczności polskich aliantów we Włoszech, na morzu, w powietrzu i w bohaterskim oporze ruchu podziemnego”.

Żołnierz polski wygrał więc na razie kampanię propagandową. Pragniemy wierzyć, że dalsze zwycięstwa przyniosą Polsce także owoce polityczne.

## Zagadka polska

We wspomnianej już mowie, wygłoszonej w Izbie Gmin przed debatą nad polityką zagraniczną W. Brytanii,



Dotawa zaopatrzenia i amunicji na przyczółek pod Anzio

premier Churchill poświęcił krótki, ale treściwy ustęp Polsce. Poruszył on tam tyle zagadnień na raz, że nie sposób je tu wszystkie omówić; oświadczeniem tym zajmujemy się w osobnym artykule. Zaznaczamy tylko, że stanowisko, zajęte przez premiera brytyjskiego wobec Polski, jest tak wyjątkowo zdeterminowane przez chęć „jak najszybszego wygrania wojny przy jak najmniejszych stratach” (jak ostatnio określił politykę sprzymierzonego sekretarza stanu U.S.A., Cordell Hull), że zagadnienia polityczne, bez których rozwiązania nie można wygrać nie tylko pokoju, ale chyba i wojny — dziwnie się zaciarają.

I tak np. Churchill obiecuje nam, że po ew. utracie ziem wschodnich otrzymamy „dobrą, stosowną i słuszną siedzibę (homeland), w której naród polski może bezpiecznie bytować (dwell)”. Zupełnie podobne zdanie słyszeliśmy już — zresztą z zupełnie innych ust — w pierwszych miesiącach wojny. Czyż jednak zapewnienie to da się pogodzić z paktem brytyjsko-sowieckim, który w art. 5. stanowi, że sygnatariusze (a więc także Sowiety) „nie posiadają żadnych ambicji terytorialnych” — by nie wskazywać już na Kartę Atlantykę, którą Churchill w teście mowie nazwał „drogowskazem” sprzymierzonych?

## Zanik ideologii

Mówiąc o stosunkach brytyjsko-sowieckich, premier Churchill oświadczył: „Ludzie bardzo pragną, by Wielka Brytania i Rosja były przyjaciółmi. Cokolwiek dałoby się powiedzieć o przeszłości, nie stało się nic takiego, co w jakikolwiek sposób kazałoby

Wielkiej Brytanii łażować, że podpisała z Rosją traktat dwudziestoletni”. Nadzieje swą na dalszy rozwój dobrych stosunków z Sowietami premier brytyjski opiera między innymi na fakcie, że „w Resji dokonano się głębokie przemiany”. Warunki postawione przez Moskwę Rumunii nie zawierają żadnych sugestií dotyczących zmiany stosunków społecznych w tym kraju, a ponadto Sowiety okazały Rumunii „godną uwagi wspaniałomyślność”, Finlandii zaś „wielką cierpliwość”.

Z tego i z innych rzeczy — jak np. z faktu, że „władza faszystów została we Włoszech złamana i w niedługim czasie zostanie całkowicie zniszczona głównie przez samych demokratów włoskich” — premier Churchill wyciąga wniosek, że „im dłużej wojna trwa, tym bardziej traci charakter wojny ideologicznej”. Znacząco to innymi słowy, że jeżeli wojna z początku toczyła się o zwycięstwo tej czy innej ideologii społecznej, a więc np. faszyzmu, narodowego socjalizmu czy komunizmu, to obecnie nikt już — zapewne poza Niemcami — celów takich nie wysuwa. Sowiety np. nie pragną bolszewizować Rumunii. To samo twierdzi p. Oskar Lange o zamiarach Stalina w stosunku do Polski: Stalin wcale nie zamierza Polski bolszewizować. Co prawda, Rumunia ma ustrój faszystowski i trudno przypuszczać, by Sowiety zamierzali po zajęciu Rumunii ustrój ten utrzymać. Premier Churchill różni jednak prawdopodobnie ustrój polityczny i ustrój społeczny: system polityczny Rumunii jest faszystowski i będzie musiał zniknąć. „Jest rzeczą jasną — oświadczył Churchill — że nie będziemy tolerowali, by w którymkolwiek kraju, z którym byliśmy w wojnie, odbudowana lub stworzona została jakakolwiek forma faszyzmu”. Tym, czego Sowiety, zdaniem Churchilla, nie naruszają w Rumunii, będzie więc zapewne ustrój społeczny, to znaczy system gospodarczy, oparty na własności prywatnej a nie na kolektywizacji. Co prawda, Rosja tego nie zagwarantowała, ale w każdym razie nie robiła też sugestii, że postąpi odwrotnie.

## Buntownicy greccy

Dotychczas nie było wprawdzie przykładu, by Rosja na jakimkolwiek zajętych przez swoje wojska terenie nie wprowadziła bolszewickiego ustroju. Ale nawet jeżeli istotnie taktyka sowiecka uległa tymczasem zmianie i jeżeli są powody, by uspokajać świat co do przyszłego losu Rumunii lub dajmy na to Jugosławii — musimy zapytać, czym tłumaczyć się tak uderzająco i nie traktowanie tych samych spraw w odniesieniu do Grecji.

Premier Churchill podał do wiadomości Izby Gmin dwa różne fakty: pierwszy o umieszczeniu z rządu jugosłowiańskiego gen. Michajłowicza, który popadł w konflikt z partyzantami Tita i drugi o zbrojnej akcji brytyjskiej przeciwko... buntownikom greckim, którzy usiłowali królowi Jerzemu narzucić podobne rozwiązanie, jak to, które przyjąć musiał król Piotr. A trzeba przypomnieć, że kreowanie greckiego Tita było energicznie zalecane przez samego p. Korningczuka, gdy był jeszcze wicekomisarzem spraw zagranicznych Z.S.R.R. Buntownicy greccy zostali otoczeni przez wojska brytyjskie („zaledwie 30 mil od Aleksandrii”) i po krótkiej walce, w której mieli 50 zabitych i rannych — rozbrojeni. To samo stało się z buntownikami marynarzami greckimi.

W wyniku tej czystki doszło — oświadczył premier Churchill — do pogodzenia wszystkich partii greckich z rządem króla Jerzego.

Czy przyczyna tego postępowania z buntownikami greckimi tkwiła w tym, że znaleźli się oni w zasięgu władzy angielskiej, czy też raczej tym, że Grecja leży nad jedną z głównych arterii komunikacyjnych Imperium Brytyjskiego i musi być zabrana do brytyjskiej strefy wpływu? W czasie wspomnianej akcji podjęto się Anglikom czterdzieściami buntowników. A wiadomo, że w samej Grecji istnieje cała organizacja partyzancka, wyznająca te same co oni poglądy. Czyżby ci partyzanci — poza wywiedzeniem posłuszeństwa rządu króla Jerzego — zgrzeszyli także i co się zarzeka Chałajłowiczowi, czy zaprzestali walki z Niemcami? Wreszcie nie wiemy do tej pory, stanowisko wobec wydarzeń greckich zajęła Moskwa, która ruchem partyzanckim — tak bliskim rozbrojeniu ostatnio buntownikom — usiłuje opiekować.

Jeżeli chodzi wreszcie o Jugosławii, to premier Churchill zapowiedział prawdę, że „król Piotr utworzył nowy, mniejszy gabinet” (już bez Chałajłowicza) i że w związku z tym Tita przeciwko Niemcom Wielka Brytania zamierza posłać mu „możną największą ilość zaopatrzenia i broń, ale nie dowiedzieliśmy się, czy uzgodzony przez Tita rząd tymczasowy został rozwiązany i czy dojdzie do takiego samego pogodzenia wszystkich partii w Jugosławii, jak to się dotychczas stało w Grecji. Wobec takiej interwencji Wielkiej Brytanii udało na odcinku greckim — zostaje więc tajemnicą, jaka ma w przyszłości rola króla Piotra i londyńskiego rządu.

## A przecież... ideologia

Premier Churchill poza tym, co do wiadomości fakt, że sprzymierzeni zrezygnowali z udziału Turcji w wojnie, gdyż domagała się ona wielkiej pomocy w sprzecznej z planem sprzymierzonych mają nadzieję grać wojnę na Bałkanach bez jej pomocy; bronił Hiszpanii, która o sprzymierzonym wielkie usługi, oświadczył ustąpienie króla W. Emanuela; usprawiedliwił nieobecność komitetu gen. de Gaulle za tymczasowy Francji i wreszcie przeszedł do omówienia wyników konferencji dominialnej. I tu premier Churchill podkreślił raz jeszcze domo Kartę Atlantykę, która pozostaje jego zdaniem „drogowskazem”, „który nie stanowi oferty pod adresem Niemców, by się poddali: w stosunku do Niemiec obowiązują nadal zasady „bezwartunkowej kapitulacji”.

Karta Atlantyka na pewno nie wiera „ideologii” w sensie programu społecznego. Nie możemy się jej powstrzymać od przypomnienia dwóch punktów, które dla nas są warte od wszystkich ideologii i lepiej wyrażają cele, jakie przysięgają Polakom w tej wojnie, niż wszystkie „izmy” polityczne: Karta Atlantyka stanowi, że wszystkie narody, które zostały pozbawione siłą praw obywatelskich i niezawisłości, odzyskają prawo i że nie dojdzie do zmian terytorialnych, które nie będą w zgodzie ze swobodnie wyrażoną woli zainteresowanych narodów.

W tym sensie wojna obecna przestała być dla nas „wojną ideologiczną”. Bez wykonania tych warunków nie widzimy też możliwości przywrócenia Europie — jak się stało za Churchill — „jej chwały i rodziny narodów i jako żywo wyrażu chrześcijaństwa”.

# Z POEZJI ŻOŁNIERSKIEJ

## Kalwaria

*Pytała mi się Włoszka: „Piaceva voi Italia?”  
A w duszy powstał obraz: domek bielony w malwach.  
Śpiewała potem Włoszka: „O campagna bella”,  
A mnie się przypomniała prosta, wiejska kapela.  
Potem mi wymieniła: Roma, Venezia, Firenze,  
A ja widziałem przebite na krzyżu Boże ręce.*

*I kiedy się długo skarżyła, że wojna zniszczyła Italię,  
Widziałem w świetle gromów najkrwawszą świata Kalwarię.*

Jan Bielatowicz

## Zaplątało się życie w węzły...

*Zaplątało się życie w węzły.  
Nie rozwiążesz ich nigdy rękami.  
Trzeba sznury strągnąć na strzepy,  
Trzeba węzły porwać — zębami!...  
Zagubiła się ojczyzna w świecie.  
Nie odnajdziesz jej w pieśni i śpiewie —  
Trzeba znowu w dziejowej zamieci  
Krwawo odznaczyć granice i ziemię.  
Nasza młodość sponęła we wrześniu.  
Nie wrócimy im na dawne łące,  
Nasza młodość skrzepła na piersi  
W nieugięty stalowy pancierz.*

*Płyną wieści — czarne kraki kraczą...  
Rosną łuny na ziemi kresowej —  
Nasze serca ścisnięte rozpaczą  
Jednym rytmem uderzają: Łwoiwem.  
Ciągną хорды wojenne drogami...  
(Czemu ręce ściszasz bezsilnie?)  
Nasze serca nabrzmiały łzami  
Nocą szepcą o jednym: o Wilnie.  
Wszystko jedno, jaki los przypadnie  
W tej śmiertelnej wojnie szaleńców —  
Nim ostatni romantyk nie padnie  
Będziem walczyć. Będziem bić się. Nie  
wiecej.  
Nasza droga wśród gromów, zawięta:  
Komu — śmierć, komu — życie. Najpro-  
stsza.  
Nie szukamy już żadnej nadziei  
Oprócz śmierci, którą niesiem na ostrzach.*

Jan Olechowski

## Z działobitni serdecznej

*Na działobitniach grają salwy  
— roznoszą chleb powszedni — krew...  
Na działobitniach dzień się spala,  
— przede mną płk ognisty krzew!*

*Za horyzontem drogę zmieszczę  
— jutrzejszy świat — gałzcie dni  
pootrzęsanych z tamtych nieszczęść,  
aż człowiek śmieje się przez tży.*

*Masz ty, Żołnierzu, wielką sprawę  
i serce masz — ogromny świat.  
Rozdajesz ogień — posiew krwawy  
za tyle ciężkich, obcych lat.*

*Artylerzysto z pół podolskich,  
poleskich łuk — wileńskich puszczech,  
na działobitniach kreślisz Polskę,  
— przedpola z oczu już nie puszcza!*

*Jak do apelu dni się zbiegły  
w pamięci twej z niedawnych chwil.  
W spłowiachy oczach tza zastygła  
— artylerzysto! — Polskę czył!*

*Wszystko już jedno; — zginął młodo  
i ostercić własny dom.  
Rozpacz jedyna: nic nie oddać  
albo podeptać prawdę snom...*

*Jeśli nie dla nas dni otuchy —  
będziem wyzywać Bożych prawd;  
— jeśli i Bóg nas nie ustucha,  
To go już nie ma — bo Go skradli.*

*Jeśli nie dla nas uśmiech żytni,  
nie czas zwotywać w modnych zest.  
Artylerzysto — w działobitniach  
prawdy poszukaj — pisz jej rejestr.*

*Macie w zanadrzu Honor. Do nich  
idźcie szukając znojących dróg.  
Wszystko zwotycając z własnych dtoni,  
biciej salwami, krzykiem nóg,*

*krwią zaważnicę im w oblicza,  
ocodolami zbitych miast.  
Zbrodni w Katynie ruszać nie czas,  
— ogniem przemówić jeszcze raz!*

*Płomień gorczy przelać z armat,  
aż na przedpola, aż pod Piasek.  
— Jeśli przepadnie krew ofiarna,  
lepiej nie wracać, lepiej zgiąć...*

Józef Żywina

## Poprzez Inferno Track

*Poprzez Inferno-Track, przez chrzest stalowej siatki,  
Ludzie, muły i stal, mięśnie, motor i ropa.  
Pękliwy szpynela jęk, grochot strzałów armatnich.  
Na drodze — srebrny pył i brzęk upartych łopat.*

*Natarcie dalej trwa. Batalion pnie się zboczem  
Tam, gdzie się srogi dym w daleką zieleni sściele —  
Znojaś jest drogą bitewną poprzez Monte Croce,  
Przez zwarty beton schronów na Monte Angelo.*

*Znów w obcą wtargnąłś ziemię, przedziwny bracie,  
Nie Twoój jest błękit tych niebios, wiosna nie Twoja,  
Twoja jest walka zacieka, ostre natarcie,  
I szlak przez Inferno-Track w szalonych konwojach.  
I Twoje jest jeszcze słowo, słowo o ziemi,  
Rozkołysane dala i twarde jak krzemień.*

Maj, 44.

Artur Międzyrzecki

# SZTUKA PODRÓŻOWANIA

(Essay pisany w polu)

Ms., w maju 1944 r.

Zwany angielski pisarz i polityk, viscount Grey, utyskuje w jednym ze swych pięknych esejów, „Przyjemność czytania” na stopniwy zanik czytelnictwa. Nie ma już spokojnych, w zieleni przepysznych ogrodów ukrytych dworków, coraz mniej orozcych angielskich konioków, tak bardzo sprzyjających przyjaźni z książką, coż trudniej uciec od rozgwaru nowoczesnego życia i w obcowaniu z poezją lub filozofią napowrót odnalazł prawdziwy smak istnienia. Nigdy bardziej niż w przeżywanym obecnie okresie zagrożenia samotności, zamierzanie do wartościowych książek nie było nawiedzane tak ostrym przyrzem.

Podróżując bez trudności, człowiek przywyka powoli do unowocześnieonego zocownictwa i z odcieniem pogard, jeżeli nawet nie wyższości, myśli o tych nielicznych, którzy życie osiadłe przekładają nad wódcęgo po świecie. Błyskawicznie rozwój komunikacji odsłonił jeden z najbardziej unowoczesnych paradoksów, ikażąc o to, że świat jest szerszy od wszechświata. „Nie widziałem pana od pa u miesiąc, gdzie pan się przez ten czas podziewał?” — zapytał pewien młody człowiek sędziwego myśliciela. — „Wdrowałem po wszechświecie!” — odpowiedział skromnie filozof. — „O jakże mi pana żal, widocznie myśliciele nie przestają nigdy być domatorami! Ja wróciłem orzedwzoraz z Jugosławii!”

Nie warto, jak to nieostrożnie zrobił inscount Grey, podczas się myślą, że wygoda podróżowania pociągami sprzyja chociaż rozwojowi czytelnictwa przynajmniej: pomiędzy wyjazdem z miejsca zamieszkania a przybyciem do miejsca przeznaczenia pozostaje zawsze kilka lub kilkanaście godzin, które trzeba jakoś wypełnić. Kulturowy człowiek sięga machinicznie w najbliższym kiosku po książkę. Ale nie jest to już prawdziwy impuls rozmiłowanego w lekturze intelektualisty. Chodzi bowiem nie o to, żeby wolny czas wykorzystywać, ale żeby go zabić, lub skrócić. Stąd niesłychany rozwój literatury „kolejowej”: taniach powieści, ilustracji i magazynów nowelitycznych. Jakże często o naszym wyborze lecadycje wtedy nie zawartości, ale barwna kadka lub sensacyjny tytuł książki. Wy-

konując bowiem dwie czynności na raz, podobni jesteśmy do zarozumiałców, chępiących się najmniej uwagą podzielać. Jest tylko jedna czynność, którą można z niej- jakim powodzeniem uprawiać w paru egzemplarzach jednocześnie: gra w szachy. I jest tylko jeden rodzaj literatury, którego właściwemu zrozumieniu nie stoją na przeszkodzie zajęcia uboczne: gazety. Dlatego, gdy wierzę ludziom, którzy z ostatnimi wiadomościami zapoznają się podczas obiadu, lub — jeszcze lepiej — w miejscach obowiązującego nawet ministrów oosobnienia, nie dam się nigdy przekonać, że można — powiedzmy — czytać Norwida nie przestając czyścić paznokci.

Oczywiście wszystko to jest prawdą i nie trzeba być aż przesystemną kulturą Włochabiją, żeby ze smutkiem zauważyć, że ludzie coraz więcej albo zapominają zupełnie o prawdziwej przyjemności czytania, albo odnajdują w nim zgola inne i niezawsze pełnowartościowe uroki. Ale jednocześnie z rozwojem kolejnictwa, automobilistyki, żegluga morskiej i powietrznej powstaje nowe zagadnienie: sztuki podróżowania. Być może — ona zawsze będzie w stanie wypełnić w życiu duchowym człowieka lukę, jaką pogłębia się z każdym dniem lekkomyślnej rozłąki z książką.

Zanim jednak omówimy możliwości rozwoju tej XI Muzy, musimy się pokroczyć chociaż umówić, jakich ludzi będziemy nazywali podróżnikami, a jaki rodzaj poruszania się po świecie podrózwami. Jest bowiem zbyt dużo osób, które przenosząc się z miejsca na miejsce — wcale nie podróżują. I jest również sporo ludzi, którzy odbywają podróże najbardziej egzotyczne, że ludzie coraz więcej albo zapominają zupełnie o prawdziwej przyjemności czytania, albo odnajdują w nim zgola inne i niezawsze pełnowartościowe uroki. Ale jednocześnie z rozwojem kolejnictwa, automobilistyki, żegluga morskiej i powietrznej powstaje nowe zagadnienie: sztuki podróżowania. Być może — ona zawsze będzie w stanie wypełnić w życiu duchowym człowieka lukę, jaką pogłębia się z każdym dniem lekkomyślnej rozłąki z książką.

Człowiek interesu traktuje podróż jako zło konieczne, jako bezproduktywny okres czasu, który należy poświęcić na ołtarzu pomysłnie sfinalizowanej transakcji. Sam przejazd jest mu w zasadzie obojętny i jeżeliby rodzaj załatwianej sprawy nie dopuszczał zbyt wielkiego marnostrawstwa czasu, chętniej korzystałby z kabla oceanicznego niż ze statku transoceanicznego. Jego podróż jest wówczas tylko rodzajem życia osiadłego w ruchu; przenoszony na żądane miejsce dopełnia ostatnich niez- będących czynności: przegląda akta, sprawdza obliczenia, studjuje ceduty giełdowe.

I najczęściej w ogóle nie wie, jak wygląda okolica, przez którą przejeżdża, lub jakie osobliwości zawierają miasta, w których odbywał konferencje kupieckie.

Snob podróżniczy znowu ogarnięty jest manią kolekcjonowania odwiedzanych krajów. Jeśli mówi, że był właśnie w Kalkucie, to należy go traktować jako chłopca, który zdobył nową serię znaczków pocztowych z Borneo. Na ogół bowiem ta jego „bytność” w indyjskim mieście ograniczyła się do wypicia paru kieliszków koniaku na dworcu kolejowym i w istocie nie jest to nic innego, jak tylko filatelistyka, uprawiana na bardzo luksusową skalę. Ludzie ubodzy też miewają takie manie i półświatka handlowych spryciarzy potrafią już niez wykorzystywać to uczucie. Pamiętam maleńki sklepik na Świętokrzyskiej, w którym w swoim czasie można było kupić najbarziej egzotyczne nalepki hotelowe.

Człowiek, który podróżuje dla interesu, nie powinien natomiast być uciążliwym z człowiekiem, który interesuje się podróżowaniem. Istnieje tu bowiem nie tylko zasadnicza różnica celów, ale i odmienność metod.

W obecnych warunkach jest przeciw dość łatwo dostać się, powiedzmy, z Suezu do Basy. Wystarczy luksusowym parowcem opłynąć Półwysep Arabski. Ale pika Lawrence’a interesował was nie luksusowy parowiec, a Półwysep Arabski. Dlatego, gdyby mu kazano pojechać z Suezu do Gibraltaru, zwidziwszy prawdopodobnie przez okazyjny Afrykę. Znaczący to, że prawdziwe podróżowanie jest tym ciekawsze, im więcej jego miłośnik musi pokonać po drodze przeszkód, żeby dotrzeć do raz wy- kniętego celu.

W zdaniu: „droga do nowoodkrytych źródeł ropy jest dość trudna” — amerykańskiego natciarza interesuje przede wszystkim ropa, a później trudna droga, angielskiego podróżnika natomiast intryguje najpierw trudna droga, a później nafta. Gdy więc pierwszy obejrzy się natychmiast za najbliższym biurem Cooka, drugi rozpyta się niezwołownie o jakiegoś równie awanturzystę Cooka. Każdy angielski podróżnik wie bowiem dobrze, że jak mu ugoutaja, tak się naje.

Często jednak zdarza się słyszeć, że to ci bezinteresowni angielscy podróżnicy zbudowali Imperium Brytyjskie. Zapewne tak jest. Każdy, kto choćby przeglądnął księgię życia pika Lawrence’a: „Seven pillars of wisdom” — wie wobec tego, dlaczego ten tajemniczy, niekoronowany król Arabii spędził ostatnie swe lata w rozgoryczeniu

i samotności, pod nikomu nieznanym nazwiskiem mr. Shawa, podczas gdy jego znakomity poprzednik Livingstone z niechęcią myślał o powrocie do Anglii.

Zsumujmy tedy nasze rozważania: sztuka podróżowania opiera się głównie na uczuciach ryzyka i bezinteresowności. Bardzo pięknie, powie teraz sceptyk, ale w takim ujęciu jest ona nie sztuką, a tylko bardzo szlachetnym sportem. Niekł nie zaprzeczy, że wiele i bezinteresownie ryzykował francuski student politechniki Alain Gerbault wyruszając na maleńkim jachcie w „pogoń za słońcem”.

Jego przykład ożywił i pobudził do naśladowania wielu żeglarzy świata, że wspomni tylko polskiego harcerza Wagnera który na „Zawisty Czarnym” tak mężnie stawił czoło grozie oceanów. Ale cóż przywiezi oni wszyscy ze swj wędrówki, poza wzmozoną wiarą we własne siły i wątpliwę wartość emocją wynikającą z użalenia świata? Był to niejako anachroniczny, z ducha Kolumba i Vasco da Gamy poczęty protest spadkobierców czystego żelazstwa przeciwko lukusowi i łatwości nowoczesnego podróżowania. „Lux torpedami”, samolotami i parowcami podróżują tylko niewoitni świata, własnym mięsiem i rozumowi ufają jego władcy — mógłby powiedzieć Gerbault.

Chodzi jednak nie tylko o to, żeby światu ulec lub ujarzmić go, ale żeby go pokochać. Kochać natomiast potrafimy tylko te rzeczy, które chcemy i jesteśmy w stanie dokładnie poznać. Stąd czynnik poznanczy jest trzecim i ostatecznym filarem sztuki podróżowania. Najlepszą drogą do umiłowania świata jest nie rzadzić nim lub wykonywać poświęcenie jego prawa, ale kochać go w całej rozmiarowości i bajkowym bogactwie przejawów. Zapisać więc konkluzję: sztuka podróżowania jest tak, jak poezja, malarstwo lub muzyka radosną próbą zawarcia nigdy nie wyczerpanej przyjaźni ze światem. I każdy prawdziwy podróżnik ukrywa gdzieś w głębi duszy swój własny nie pisany atlas; nie kolorowy atlas ładów, oceanów i mórz, ale arcyludzki atlas woli, serca i rozumu.

Innymi słowy, każdy prawdziwy podróżnik musi być choć trochę Conradem. Jeśli bowiem da się rozgadnie powiedzieć, że Szekspier był aktorem, który wiele dziwo ujrzał w zwierciadle nieba i zaświata, to dobrze również jest pamiętać, że Conrad był żeglarzem, który dostrzegł je nawet w zwierciadle morza i świata.

Gustaw Herling-Grudziński

JAN BIELATOWICZ

593\*)

W dzień Matki Boskiej Dobrej Rady w ścieżki mułowe, wspinając się ku jarom i wzgórzom zasnającym północ klasztorowi Monte Cassino, wsiątki pierwsze krople potu żołnierzy polskich, a w dniu Wniebowstąpienia Pańskiego w gruz opawanego już w górach klasztoru spłynęły ostatnie krople krwi tych żołnierzy. Między tymi dwoma świętami, między dwoma mołdowymi zamyka się akt dziejów narodu, walczącego o miejsce pod słońcem i pokazującego krwią źródła swej kultury.

Kiedy czerwone od bezsenności i śmiertelnego znużenia oczy wypatrywały po zejściu z pozycji miejsca dla odpoczynku wśród zakurzonego oliwek, gdzieś tam za rozbitym miasteczkiem z rowu wyglądał szczyt obalonego krzyża i litery INRL. Boża męka nie opuszcza naszej historii.

Sztandary, fanatry, depesze... Opisy bohaterstwa dają wrażenia i podnieci estetyczne. Krew amantowa, zwłaszcza na białym potu, pachnie palosem pozycji. Ciało — jak kamienie przez Boga rzucane na szaniec\* tworzą dekorację jak w teatrze. W życiu trwanie na posterunku bojowym, gdzie na ciemnikach nitce wisi wytrzymałość ludzka, uraga najmniejszego drobinom estetyki. Krew chłepką duże, czarne, fiolowe, zielone i niebieskie muchy. Ciało żrą szczyry i słońce. Ziemia nie może ciak przysiężnik, a ludzie są bezsilni wobec majestatu ich ohdy. Tego świata przede wszystkim dotyka żołnierz. I kiedy się do końca przemysł wojny, prawdą się objawiają słowa filozofa włoskiego Benedetta Crocego: „W istocie rzeczy jest ona gorączką, która okresowo nawiedza ludzi i w swym przebiegu powoduje, iż jednostki i narody, niezacznie od tego, jaką reprezentują wartość i na jak wysokim poziomie się znajdują, walczą dla pokonania przeciwnika i zniszczenia go... W gruncie rzeczy wojny sprowadzają się do jednostajnego ciągu zaoawania i odbierania rąbów, gdzie losowi przypada wielka rola... „Nie mniej jednak należy wystrzegać się niedbalstwa, należy pilnie i zardrosnie strzec instytucji wojkowych, albowiem wewnętrzna świadomość uprzytamnia nam, że wojny nie podobna usuwać ze świata i że należy być na tę ewentualność przygotowanym, podobnie jak się ma w pogotowiu lekarzy, lekarstwa i instrumenty chirurgiczne na wypadek choroby, która zawsze może się ponowić... Pokoj wiecznie to wieczna nauka, gdyż zmierzna o nie mniej i nie więcej, jak do pokonania sprężyn poruszających życie ludzkie, którym są ciepłota i niedziękczestwa\*\*.

Gdyby istniał termometr uczuć ludzkich i gdyby zmierzyć nim uczucia żołnierzy polskich, których nikomu Niemców pod Cassino, najwyższy słupek trzeba by

odczytać tak, jak słowo śmierć. Wspomnienia o śmierci kolegów, życie w magnetycznym polu śmierci, dotykanie jej dzień i noc, godzina po godzinie, minuta po minucie, sekunda po sekundzie. Pobyt na froncie, to nieprzerwane rozmyślanie o śmierci. Śmierć na pozycji mierzy tylko 2 metry kwadratowe, tyle ile nasyp schronu, ale człowiek jest obłożony przez śmierć na pozycji 2 metrów sześciennych. Wojna — mówił jakiś żołnierz — to oczekiwanie na wyrok śmierci, kiedy utaskawienie jest loterią szczęścia.

Bitwę stoczyli żołnierze polscy nie tylko z Niemcami i ziemią, ale także ze śmiercią. Szli mężnie przeciw jej widmu, pchali siła niezmiękiej wiary i woli.

*„Tak przechodzący  
Wszystkie kohorty  
Od pierwszej aż do ostatniej,  
I tak się kładły  
Do uspólniej mogiły,  
Rzymkiej i bratniej.  
Nie ma innego pochodu,  
Innego pochodu nie będzie!  
Na Akropolis, na Kapitola  
Śmierć się ucielnia w marmurach,  
Posagły rozbijają się w pola,  
Złoty wyopatł się w chmurach,  
A Nike naszej przysiadła legendzie.  
Nie ma innego pochodu,  
Kierś się zwuścił, co nas zapłania:  
Przeszła piechota, uróci piechota,  
Przeszła bateria  
Na Via Appia“.*

(K. WIERZYŃSKI)

Szły kohorty bataliony na wórzora o rzymskich nazwach i określonych tylko magiczną trójką cyfr, od pierwszej aż do ostatniej drużyny, podrywane z rozbitej ziemi siłą, na którą nie ma ani rzymskiej nazwy, ani żadnej formuły cyfr i wylizczni, a w którą zaufały obce dowódcy i w którą nie wątpiły nigdy polskie. I jeżeli na zmięgłych obliczach wystąpiły plamy ludzkiego meczestwa... tak, bo Polskę zastąpiły wtedy chmury dymu, wstrętny smak prochu i stali, krew z bkiem zmieszana i w strzępy podarte ciała. Dla walczącego pokolenia bojowników polskich wszelkie paradoksy, wszelkie formuły na męstwo i wiarę, nawet takie jak „contia spem spero“, są naiwne. Ten żołnierz przeszedł Wreszcie, ten żołnierz utracił Polskę, ten żołnierz włókł się po świecie, przeszedł Rosję, bił się wszędzie, gdzie były bitwy i walcy na pewno tylko i wyłącznie o Polskę. Słuch są płuch historii i jak wiatr świecie zdumuchały ludzkie żywoty.

Przed bitwą o Cassino oddziały polskie otrzymały, wiele map przyległych rejonów, sporządzonych przez brytyjskie i amerykańskie instytucje geograficzne z czerwonym nadrukłem „2 Polish Corps“ i z legendami w języku polskim. Na jednym były znaczone tylko drogi, na innych kształtowanie

fizyczne, jeszcze na innych stanowiska własne i nieprzycięla. Strach było patrzeć na plan ogólni niemieckich: nieprzenikniona siatka artylerii, moździerzy, miotaczy, broni maszynowej, min, drutów, pułapek. Wszereż i w głąb, na górach, w dolinach, na skłach, pod ziemią, w bunkrach, dyndkach, ruinach, w krzakach, rozbitym sprzęcie, a nawet na drzewach.

Jeżeli czytelnik ma jakąś mapę Włoch, niechże sobie odnajdzie na niej klasztor Monte Cassino, na wysokości 516 m nad dolną rzeką Rapido (Bystra), łatwy do odśzukania przez zygaki serpenytn, pnących się z dotu do opactwa Benedyktynów. Wodząc zapałką (w woj-ku palcem po mapie jeździć nie wolno) prosto od klasztoru na północ natknie się na napis Colle D'Onorio (Pągórek św. Onufrego). Tu siedzieli także Niemcy. Dalej na północ odczyta napis „Moiola“. To wórzore, od którego rozchodzą się na wschód i południe barzo zgęszczone pozycje, zdobyte w lutym bieżącego roku przez Amerykanów, było klinem w systemie niemieckiej obrony i podstawą wyjściową do polskiego natarcia. Nad tym wzgórzem, niestety, panuje olbrzym, zniecałca wystrząsający na północy — maszy góry Cairo z wysokością 1669 m n.p.m. Cairo w tym terenie jest jak Gulliver wśród krasnoludków. Niemcy zbudowali tam kolejkę linową i naszpikowali skały obserwatorami i moździerzami. Wróćmy na Moiolo. Na zachód od niej drogę do szosy Cassino-Rzym (via Cassina, określaną też drogą nr. 6) zagrażają dwie nazwy: San Angelo i Massa Albana. Na mapach sztabowych jest tam jeszcze ważna nazwa Phantom (Widmo) i cała masa potrojnych liczb. Nie trzeba być stratem, aby wpatrzywszy się w mapę zrozumieć, że te wszystkie wyniosłości zagrażają drogę ku rzymskiej szosie i że wszystkie musiały być zdobyte i utrzymane. Naraz. Gdy w Korytarzu śmierci między Cairo i Cassino odosobnione wyry nie mogłyby się długo utrzymać.

A teraz poczujmy cyfr! Najwyższe z nich i najbliższe klasztoru, to 593. Wórzore 593 i sąsiednie 569 i 469 były kluczem obrony niemieckiej. Ich zbozami spłynęła krew wszystkich batalionów dywizji Karpackiej. O nie tęczaj się, podobnie jak na prawym skrzydle o Widmo i San Angelo dywizji Kresowej, batalia siedmiomniowa, przy użyciu wszystkich nowoczesnych broni do walki na pięści włącznie, tam padło setki zabitych i rannych. Po stronie przeciwej stał wyborowy batalion i niemieckiej dywizji spaodochronowej, która nie uznawała stać niewoli, a tylko śmierć. Niemcy bronił się w schronach zabudowanych, że do nich nie można było wstąpić granatów.

Ludzkiego trudu z mapy nie wyczyta. Odrzućmy mapę! Wschujmy się w rymiczny i gorączkowy stuk kopyt o kamienie, pomieszany z gorącymi oddechami

ludzi z zwierząt. Idą muły. Noc w noc pokrywają trasę prawie 15 km, na wysokość blisko 500 m, po kamiennych ścieżkach — w dwie i pół godziny. Ścieżki mułowe, to żyły frontu, pulsujące powzward, nią krwią organizmu. Jeżeli by kiedyś na amfiteatrze Maioli miał stanąć pantecm, musiałyby tu stanąć pomniki Muła i Ludzkiej Woli. Muły, wplątane w długą wojnę, padały cicho. Jednej nocy w Dużej Misce padał ich 28. Dwa nie rozdawane stały do rana jak posągi ze złamanymi nogami. „Rozdziobią nas kruki, wrony...“ Major brytyjski, dowódca wszystkich mułowych konwojów, miał powiedzieć, gdy musiał strzelać w te wieczne, zastużone dla ludzi żyły. Obok mułów leżał siedmiu zabitych ludzi. Wspaniały pionier: Stanisław Lasota. Jeden z zabitych Cypryżków trzymał za uduę rozszarpanego muła. Czy ci ludzie nie zastużają na Krzyż ze Walecznych?

Innej noce sześć mułów, których mułowodni padli na trasie, przybyło z zapoatrzemlem pod dowództwo Brygady, czekając na rozładowanie. Ale dla mułów są granice na froncie, dla ludzi nie ma. Z Miski suną teraz grupki żołnierzy, objuczone oszakami. Na nich żywność, wodę, broń i amunicja. W każdej chwili mogą między nich paść pociski, czy rzucić ich na ziemię seria karabinowa. Na ścieżkach staje ludzkiej męki leża trupy. Zakrzewione zbrocze — cmentarz — punkt sanitarny — łączka — cmentarz — domek nad jarem — cmentarz — ścieżka po kamiennym uplatzie — niepochowane zwłoki — trzech zabitych Amerykanów — dwóch Niemców — dwa muły — trzech Niemców, jeden ma manierkę przy boku. Teraz oddech z korzeniami, trupy, trupy. Trzeba biegać. Na palcach. Pst! Tu zaraz „domek doktora“. Ogromne szczyry hała po murach. Cmentarz. Na tej granicy pozycje. Przez dni 18 trzymał je III baon. Innym zmieniali się co pewien czas. Niemcom naprzeciw za sześć dni tego odcinka dawał „Eiseres Kreuz“. W powietrzu świsły i blyski. Zwalony mur, jakaś brama jak do piekieł, cementina Strzelają z granatnika. Niewpalił. Biegiem! Trupy. W tym gnieździe gruzów siedzi 2 kompania. Do Niemców 75 metrów. O tam, w szosie kamienie — to 593! Między nami i nimi nie ma min. Leży tylko kilkadziesiąt trupów Amerykanów. Anglich. Hindusi. Niemcy Dnia 12 maja przybyli do nich Polacy. Jaki fale morza odbijały się od niemieckiej murty, aż do przekroczyli. Najmocniejszy mur twierdzy europejskiej, pięść wojny tego germanizmu. To właśnie tu: 593.

## BITWA POLSKIEGO KORPUSU O MONTE CASSINO

(Dokończenie ze str. 3.)

nawały gwałtowne na wykryte w uprzednim natarciu moździerze i artylerię npla, głównie na tę strzelającą z boku i z tyłu.

Gwałtowne nawały, raz po raz kładzione, mają wyraźny skutek. Coraz mniej armat i luł moździerzowych szczerka. Dostały po łbie — są już mniej groźne.

Tak zastaje KRESOWĄ świt.

O świecie nowe wydarzenia. Podsuwa się następny baon — grupuje się na „Widmo“ i śmiałym ruchem, przy pełnym już świetle dziennym, przekracza zwycięską z nocy piechotę i biegiem, nie bacząc na możliwość napotkania min, wali wprost na ANGELO, drugą i główną pozycję niemiecką. Poprzez po ogień artylerii, który teraz potężnymi nawałami gniecie przedpole i pozycje npla. Raptem spada na bieżącą linię ogień zapowrowy npla. Ruch jest jednak tak szybki, a cieżki zapowrowy, jak wiadomo, automatyczny, że bije już poza linię baonu. Chłopy wiedzą, że najlepsze lekarstwo na zapowrowy ogień, to uciec przed nią, tyl-

ko nigdy do tyłu, ale zawsze w przód. Powiedział im to! Toteż walał jak z kopyta i jednym skokiem wpadają pomiędzy „szmajsery“ bunkrów. I znowu ta ciężka robota podłączenia pod bunkier z granatem ręcznym i wsadzania go w otwór strzelnicy. Innego sposobu niema. Trzeba to zrobić i na prawo i na lewo i w przód i w tył — bo wszędzie niedostrzeżalne wypust bunkry plują seriami „szmajserów“.

Ta piękna robota zostaje jednak w mig wykonana i baon siedzi na St. ANGELO. Wtem nowa niespodzianka. — Gdzieś z poza załomów skalnych wypadają grupki Niemców. Uwaga — to przeciwdzierzenie. — Odparli jedno. —

Za chwilę drugie. — I to odparli. Zaczyna jednak brakować amunicji. Co będzie, jeśli Niemców stać będzie na trzecie?

Gwałtowny krzyk o amunicję — potrzeba conieś świeżej! Nie jest to jednak tak łatwe — głązy i skarpy, przez które tak łatwo przeszkoczyło się w natarciu, stanowią dla noszo-

wych wielką przeszkodę. Czy zdążą? Nie zdążyli. —

Nowa fala npla rusza do uderzenia.

Nie mieliście czym go odepnąć — rozumiemy to dobrze. Odszkodziliście 100 metrów na garb, bliżej amunicji i tak już zostaliście zadyszani i rozpaleni bojem, wściekli, że nie mogliście się urzymać. Obok was to samo się dzieje z innymi oddziałami, które wykorzystując wasze powodzenie także ruszyły.

Wiemy dobrze, żeście tam za załomami skalnymi, na 100 m od bunkrów npla, nie mając amunicji — rzucali kamieniami na Niemców. A gdy to się wam już zdruzziło, zaintonowaliśmy „Rotę“. I pieści „Nie rzucim ziemi“ rozległa się z początku niesmiało, potem coraz głośniejsza — świadcząc o waszej postawie — o waszej woli wytrwania i uporze.

Tymczasem na lewym skrzydle KRESOWEJ wydstają się na „Widmo“ czolgi przy pomyocy saperów i zaczynały prażyć w bunkry npla. — Inne pochodzą na ALBANETĘ współdziałając z KARPATCYKAMI. Bo i tam zaczęta walka wre — idą natarcia i kontrnatarcia — przeciwnik broni się zacieknie i każdy wyłom staje się natychmiast zarzewiem gwałtownej walki wręcz.

Całe przedpołudnie dnia 18 maja

zostaje ponownie wyzyskane na dokładne wstrzelanie się do źródeł ognia — tym razem drugiej pozycji, która za czepona tak gwałtownie tym razem musiała się zradzić.

Jest to ta wymarzona pozycja ANGELO — ostatni przedmiot — wykonanie zadania i przez nią podanie ręki Brytyjczykom, idącym dolną LIRI. Jeszcze tylko jeden skok potrzeba zrobić, ale każdy zdaje sobie sprawę, że jest on najcięższy.

Tam główne siły npla, tam pewnie będzie jego najbardziej zdecydowany opór — a tutaj własne siły sterrane tygodniową walką. Oczy kleją się do snu — organizm wola — dość — Wypocząć. Wyjść z pod ognia, uspokoić nerwy, odetchnąć, choć dzień. —

Niel! — Tu nie mogło być odpoczynku. I przeciwnik tak samo zmęczony — a może i więcej, i on wstrząśnięty. Jeśli potrafisz przetrwać kryzys i zwalpienie, które zaczyna się ogniarz — to zwyciężysz — bo jakże! — gryziesz i gryziesz te pozycje krok po kroku je zdobywasz, łuczysz go, jak pluskwy, a on ciężko żyje przeciwdzierza i broni się uporczywie. Siedziś już na pierwszym grzbiecie ANGELA — daj jeszcze wysiętek, zobaczysz, że prwniś z całego grzbieca i to już bezpowrotnie. — Tył wytrwał!

\*) Jest to fragment szkiców z frontu Cassino, których celem jest obraz odcinka jednego z baonów D. S. K. Obraz widziany jest uczyni na szerepewego. J. B.



# POLEGŁ NA POLU CHWAŁY!

Gdy w dniu 12 V, w pierwszym dniu niemiejskiej, sytuacja w pewnym momencie stawała się krytyczną, gdy w ogniu niemieckich dział i moździerzy padali żołnierze „Kresowej”, a Niemcy zaczęli coraz to nowe siły do przeciwdziałania, pułkownik Kurek, d-ca Wileńskiej Brygady Piechoty, gdzie na odceńce. Nawiązuje kontakt osobisty z dowódcami nacierających baonów, wyjdaje w pierwszej linii rozkazy.

„Dzień 17 V, był dniem odwetu „Kresowej” za straty poniesione 12 maja, dniem dalszego rozwinięcia sukcesów terenowych zapoczątkowanych zdobyciem „Widma” w dniu 12 V.

Pułkownik Kurek wraz z szefem oddziału operacyjnego sztabu dywizji, porucznikami W. i P., oraz z radiotelegrafistami pod dowództwem plut P. udał się do czołowych batalionów, by po nawiązaniu osobistego kontaktu poprowadzić baony do dalszego natarcia.

Droga, po której szedł pułkownik z towarzyszącą mu ekipą, była pod stałym ostrzałem niemieckich moździerzy i artylerii. Pułkownik wszedł na wzgórze 70m. Tu spoکاł pułk S. próbującego nawiązać łączność z brygadą. Pułkownik orientuje się w sytuacji lwojskowej baonu, przeprowadza rozmowę radiową z dowódcą natarciem pułk R. Ustalają plany dalszego działania.

Pełną najlepszych myśli pułkownik wszedł na zdobyte przez jego żołnierzy „Widmo”. Ogień niemieckich moździerzy stawał się coraz bardziej intensywny. Lwowiczy majora St. leżąca na „Widmie” poznają znaną smukłą sylwetkę pułkownika. Pułkownik Kamiński melduje, że jego kłucie podciągają na podstawę wyjściową. Pułkownik znowu łączy się przez radio ze sztabem.

Na wzgórzu St. Angelo, na które ma zamiar przejść pułkownik, sytuacja jest ciężka. Batalion majora B. odczuwa brak amunicji.

Pułkownik schodzi ze stoku „Widma”, przechodzi przez jar i krzaki u podnóża St. Angelo. Czas teraz trzeba iść skokami, bo z prawa ogień niemieckich moździerzy staje się coraz bardziej intensywny. Krzywe skończyły się. Teraz trzeba posuwać się skokami od skały do skały.

Na stok kładzie się prawdziwa ulewa ognia niemieckich moździerzy i artylerii. Jak się później okazało, był to ogień przygotowujący niemieckie natarcie na St. Angelo. Nawała ognia wszystkich przybija do ziemi. W przerwie porucznik W. przesłuchuje się bliżej do leżącego między dwoma skałami pułkownika.

— Odciełeś to pan by? Pyta uśmiechając się pogodnie pułkownik.

Nowa nawała ognia. Tuż przed nią pułkownik przesunął się o kilka metrów pod inną skałę.

Pocisk niemieckiego moździerza pada w odległości pół metra od leżącego pułkownika.

Do miejsca wybuchu podskakuje porucznik W.

— Jezus Maria!  
Pocisk rozstrząskał głowę pułkownika.

Nie słabnący ogień nie pozwolił nawet tego dnia unieść ciała zabitego.

Pomógł gołymi skłami niedostępnego wzniesienia wzgórze na dół wśród swoich żołnierzy dowódca Wileńskiej Brygady, dowódca natarcia w dniu 12 V 1944 r., dowódca poprzedniego odcinka obronnego S. Biaggio.

Padł na szlaku walki o Polskę, na który wszedł jako oficer armii polskiej w r. 1918, na którym w kampanii wrześniowej walczył nad Wartą jako dowódca 28 pułka strzelców Kaniowskich.

Dostał się wówczas do niewoli niemieckiej, skąd ucieka na Węgry. W r. 1940 przedstawia się do Francji, gdzie znowu wstępuje do szeregów wojska polskiego. Po upadku Francji przedziera się do Anglii.

Idę wąską szczeliną między wysokimi kamiennymi ścianami, pnę się stromo w górę — dwieście, trzysta, czterysta metrów. Nad głową zwisają gałęzie i korzenie krzaków, nogi potykają się i ślizgają po skalnych głazach. Wszędzie po drodze w załomach, w norach wrytych w skałę — śpią i leżą żołnierze „Kresowej”. Kompanie lwowacko-w pomieszane z kompaniami wileńskimi.

Pnę się ostrożnie między leżącymi (kamienie co chwila odrywają mi się z pod nog i z łoskotem toczą się w dół), szukam kogoś z baonu „Rysiów”. Chcę się dowiedzieć szczegółów śmierci pułkownika Kamińskiego. Aż wreszcie na szczycie wzgórza pokazują mi: — o, ten — starszy strzelec Adam H., — on był z pułkownika.

Siadamy w cieniu drzewa, obok nosze, na których leży zwinęty w koc trup żołnierza z baonu „Rysiów”. Ścieżką w dół sanitariusze znoszą rannych. Spoglądają ku nam błyszczące gorączkowo oczy, wargi

Od tego czasu wszystkie swoje siły i umiejętności poświęca pracy nad szkoleniem oddziałów na obronienie wojska polskiego. Jest wykładowcą taktycznym w Centrum Wyzsolenia Piechoty, a potem jego komendantem.

W lipcu 1942 roku spieszy na Środkowy Wschód, gdzie dalej poświęca się pracy szkoleniowej. Jest kierownikiem kursów oficerskich w Centrum Wyzsolenia Broni i Służb. W listopadzie 1943 r. zostaje Komendantem Centrum Wyzsolenia Armii.

W dniu 3 maja 1943 r. otrzymuje awans na pułkownika, wreszcie 29 IX 43 r. obejmuje dowództwo 5. Wileńskiej Brygady Piechoty.

Całą swą duszę wkłada w przygotowanie Brygady do boju. Aż do przesady

skromny, wyrozumiały dla drugich, bez względu na siebie, nie znający często wypracunku w pracy, oddał swe serce żołnierzom Brygady, których szczerze pokochał. Subtelny miłośnik muzyki, prawdziwie ojcowską opieką otaczał żołnierza. Nie było dostawnie ani jednej dziedzinie życia żołnierskiego, w którą by nie wniknął i w którą nie włożył swego serca.

Pamięta Go każdy „Zubr”, tak całe długie dni i noce spędzał z żołnierzami w twardych wykończonych ćwiczeniach w Libanie, w którym Brygada przeprowadziła ostatnią przed bojem zaprawę.

Pamięta Go każdy oficer, jak troskliwie obchodził każde stanowisko na obecnym odcinku, zanim wprowadził nań swą brygadę, jak obchodził stanowiska sąsiadów, a szczególnie Karpackiej Brygady sąsiadującej z odcinkiem Wileńskiej.

Padł jak żołnierz na polu chwały, jak kamień milowy na drodze do ostatecznego celu.

Z. J.

# DLA CIEBIE, POLSKO!...

wykrzywiają się w bolesnym uśmiechu. Gdzieś obok pośpiesznie bije mózdzierz.

Adam H., chłop z pod Agostowa, „zakłuczony” na 5 lat za ukrywanie rannego przyjaciela — poszukiwanego przez N. K. W. D. — opowiada:

„Byłem w poczcie dowódcy baonu, kiedy poszliśmy na Widmo.

Pan pułkownik chciał pójść dalej sam, ale pan porucznik nastąpił, żebym i ja poszedł jako ochrona. Zeszliśmy w dolinę, znaleźliśmy niemieckie maszyny, ciężką z papierami, poglądali bunkry. Pan pułkownik dał mi kartkę do pana majora Zychonia, żeby prowadził baon. Skoczyłem na Widmo — wróciłem z baonem. Pan pułkownik położył baon w krzakach, a sam ze mną poszedł na San Angelo.

Wyszli my w dolinę, słyszę „szpandanić” graja jak cholera. A pan pułkownik nie — śmieje się: nie bój się, bracie, dojdziemy.

Przeszli mi jedną górkę, podchodzimy na drugą — Niemiec bije wprost po nas.

Schowałem się za kamień i krzyczę: panie pułkowniku! chowaj się!

Ale pan pułkownik nie był skory do padania. Akuratnie maszeruje dalej. Aż nagle słyszę krzyk: Adam.

Skoczył ja do pułkownika — widzę: leży twarzą do nieba, mundur na pierści od krwi czerwony... Wziął ja go pod plecy, podciągnął za skatę, kamień pod głowę podłożył.

Pan pułkownik otworzył oczy, popatrzył na mnie i mówi cichym głosem: pamiętaj Adam... to za Polskę... i skończył.

Władysław Kamiński, podpułkownik wojsk polskich, senator Rzeczypospolitej.

Poznałem go — wiele lat temu — młodego kapitana Legionów: w bagnach polskich różnił na bagnach bolszewickie sotnie.

Potem spotykałem się z nim — postem na sejmie i senatorem — przez wiele lat w różnych sytuacjach. Nie zawsze godziły się mi się poglądy — zawsze budziły szacunek jego charakter, prawość, szlachetność i dzielność.

A później — pokochałem Go jak brata w niskich, ciemnych pokoiach Wilna — raz na Antokolu — raz na Zwierzynku — to znowu gdzieś na Wileńskiej Lipie — kiedy ze zdumiewającym spokojem i zimną odwagą wymykał się sieciami łapanek w robocie Polscy Podziemnej.

Niestety, nie wymknął się... Aresztowany na początku 1941 roku, bitu straszliwie i torturowany, oczekuje wyroku śmierci w podziemiach Lubianki.

Potem znowu... eh książkę trzeba by było napisać o życiu tego człowieka, o pełnym trudu i pracy bez wytchnienia życiu, którego sens właściwy on sam najlepiej oddał w westchnieniu przedśmiertnym — za Polskę...

Z sercem zalemi ściśniętym siedzę obok zamkniętego Adama i myślę o pułkowniku Kamińskim, o plutonowym Gorgolewskim, który z okrzykiem: niech żyje Polska! ducha oddał o Michała Pańkownu, o tych, których znam i o setkach tych mi nieznanych, co krwią swą ofiarcie te włoskie góry napoił, ostatnim zrywem zamierającej myśli goniąc do polskiej ziemi... T. Z.



Podwórze zdobytego przez Polaków klasztoru na Monte Cassino

I rzeczywiście wytrwał nasz żołnierz. Rozumiał, że dzień 18 maja będzie dniem ostatniego zrywu i zwycięstwa. Ale serce bardzo wyszczerbione.

Różne oddziały zajmują pozycje wyjściowe, a artyleria wstrzelana, otwiera po południu swój ostatni morderczy ogień. Na szczęście przeciwnik, który dotychczas z flanki i tyłów tak bardzo przeszkadzał dotychczasowym natarciom, dezorientował nas i mylił strzelając od tyłu — przymknął znacznie. Został wreszcie stłamszony naszą artylerią.

To też natarcie rusza i doprowadza o zmroku na upragnione ANGELO. — Zostało jeszcze trochę bunkrów, szczekających głównie tam, na lewo, pod wzgórzem 575, ale nikt się tym już nie przejmując. Każdy wie, że zwycięstwo nasze.

Teraz można już postać patrolom — wprost w dół, na szosę, kędy słychać Brytyjczyków.

Patrole te idą pod dowództwem oficerów do brytyjskiego oddziału i przynoszą historyczne pismo dowódcy Brygady sąsiada — sojusznika, że o godz. 17.30, dnia 18 maja dopełnił się zadanie POLSKIEGO KORPUSU — podanie ręki Brytyjczykom poprzez masyw CASSINA! —

Karpacka gwałtownym ruchem wdziera się rano dn. 18 maja w pozycję i sztandar biało-czerwony zaopotał nad ruinami starego opactwa.

Dopełnił się wyrok! losu. Połak pokazał, że twardszym jest od Niemca. Dzień po dniu niszczył nieprzyjaciela. Pomimo niesamowitych trudności, które historia dopiero wykazuje — przetrzymał kryzys bitewny i zwyciężył.

Poniósł straty bolesne. Tak — Ale udowodnił Niemcom, że im się nie ważyć z nim potykać i udowodnił światu, że potrafi spełnić takie zadanie, którego kto inny przed nim próbował at bezskutecznie.

Wydaje się, że tajemnicą powodzenia były dwie cechy naszego żołnierza, bez których żaden żołnierz nie może zwyciężyć.

Pierwsza — to chęć się bić. Tak, nasz żołnierz chciał się bić. Wiedział, za co się bije. Za poniewierkę naszą, za spalone wsie i miasta, za hańbione progi domowe, za poniżenia, za dom nas i powrót.

Druga — to twardość charakteru, która nakazuje dać z siebie jeszcze trochę więcej, gdy się wydaje, że wszystko, co w ludzkiej mocy dać mógł — dał.

I żołnierz dał nieprawdopodobny

wysiłek krwi i potu. To też zebrał tego owoce.

Wielkie zwycięstwo nigdy nie może przyjść łatwo — nie byłoby wówczas żadną sztuką, ani zwycięstwem.

Niezapomnianym będzie świt dnia 19 maja, gdy blade słońce z trudem przebiłoby swe promienie poprzez zasnuite dymami pole bitwy. Z jaką dumą Ty, Żołnierzu żywy i zwycięski, kroczyłeś po kamiennych grzebiennicach „Widma” i ANGELA oglądając teraz swobodnie swoje żniwo. Tak dotychczas tajemnicze „WIDMO” i groźne ANGELO odkryły zdobywcę swą tajemnicę. — Chodzisz po bunkrach, które z takim trudem zdobyłeś. Zaglądasz z ciekawością w każdą dziurę, co raz to coś odnajdziesz. Nic Cię nie obchodzi, żeś głodny i spragniony. Tyś upojony zwycięstwem. Rozumiemy Cię dobrze, dzielny Żołnierzu.

Tu możesz zobaczyć, jak się biłeś. Patrzysz — tam leży trup naszego żołnierza, trzymającego w zaciśniętej pięści karabin, którego bagnet tkwi w brzuchu Niemca. Obok Niemca „szmajser”.

Dalej leży trup płk KURKA, ppłk KAMIŃSKIEGO, kpt. KWIAŃKOWSKIEGO i por. KRUPSKIEGO.

Znowu dalej — dziewięć trupów naszych chłopców, rozłożonych jak obwarzanki w kółko, w środku kota! leży granatu ciężkiej artylerii. Skosił ich wszystkich jednym zamachem.

W jednym z bunkrów, do którego wejść można tylko na czworakach, znajdujesz ze zdziwieniem duża trupy: nasz i niemiecki. Co tam za tragedia zaszała? pytasz. Nikt ci na to nie odpowie!

Dalej, na przeciwstoku ANGELA leży rozparta duża płachta — podnosisz jej rąbek i widzisz trzydziści dwa niemieckie trupy. — Wiesz dobrze, że to twoja robota. Tam zniósł je npl pozostawiając je w naszych rękach.

Chodzisz i chodzisz po tym polu walki i oglądasz swoje żniwo, pomimo tragedii, która zeń bije — żeś nie chęsz. Włóczyłbyś się tak długo i długo. Patrzyłbyś na swoje dziecko i wdychałbyś z rozkoszą te atmosfery bohaterstwa, czytałbyś jak z księgi otwartej historię tej bitwy, z układu martwych ciał i z oczu spotkanych tam żywych Kolegów Żołnierzy. Żołnierzu, który byłeś, działałeś i widziałeś, wiedz, że OJCZYŻNA będzie Ci wdzięczną.

Klemens Rudnicki

# PRZEGLĄD PRASY

## Komuniści algerscy popierają...

gen. Giraud

Przez cały rok i więcej Moskwa krytykowała anglosaską politykę we francuskiej Afryce pn., a zwłaszcza układ z Darlanem

i późniejsze poparcie, udzielone przez Washington gen. Giraud. Na konferencji w Casablance podjęto pierwszą próbę kompromisu z żądaniami sowieckimi: generałowie Giraud i de Gaulle wymienili wówczas między sobą „historyczny uścisk dłoń

ni”, któremu patronowali osobiście Roosevelt i Churchill. Komuniści popierali wtedy całą parą gen. de Gaulle i nie mieli słów potępienia dla „faszyzującego” gen. Giraud. Ataki te nie ustawały też, gdy gen. de Gaulle rozszerzał swoją władzę, a władza gen. Giraud coraz bardziej się kurczyła. Wreszcie gen. Giraud ustąpił z duumwiratu, jaki tworzył przez pewien czas z gen. de Gaulle, poprzestał na funkcji na-

czelnego wodza, by w końcu zrezygnować z tego stanowiska.

W tym czasie prasa filozofska je zarzuca z kolei gen. de Gaulle, że dąży do dyktatorstwa, zaczęła wyszydzać jego „czwartą republikę”, a w redakcji tygodnika „La Marseillaise” doszło nawet do rewolucji pafawowej, w wyniku której pismo zostało opalone przez sowieckich i komunistów, którzy jawnie przeciwstawiali „czwartej republice” gen. de Gaulle — „folkstrontową”, „trzecią republikę”. Nie jest poza tym pikantniej, że w tym samym czasie marsz. Petelin również wnik, wzgl. uśłowiał wrócić do „trzeciej i publikacji”, ale Niemcy go w czas pobawali. Pisaliśmy o tym na tym miejscu.

Z lutowego zeszytu londyńskiego „World Review”, która jest pismem raczej lewicowym, wyciągamy następujące informacje, które uzupełniają powyższy obraz sytuacji w Algierze: „Ostatnim etapem rozwoju stunków w Algierze jest fakt, że komuniści z części atakować gen. de Gaulle. Zarzucają mu, że „stabilnie w swojej postawie wobec Vichystów, że Komitet Narodowy uchyla się od obowiązku czystki i karanii (Vichystów) oraz że wyrażnie plutokratyczne interesy francuskie z powodem nie zaczynają wierać presji”. „Komitet narodowy — pisał — twierdzi — boi się „ludu” i dlatego mówił wyściana broni patriotów francuskim, a jeżeli makijardzi (powstanie) otrzymali pomoc, gdy wznieśli powstanie w Korsyce, jest to wyłączną zasługą gen. Giraud. Marty (poseł komunistyczny) zaczął nawet wywracać gen. Giraud jako „żołnierza, którego jedynym pragnieniem byłoby Niemców u unikać polityki”. Komuniści zarzucają gen. de Gaulle, że przy „zasadę wodzostwa” (Fuehrprinzip) wprowadza sztandar Krzyża Lotaryńskiego, jako konkurencję dla Tricoloru (sztańcerek republiki francuskiej).

„World Review” pisze: „Jest w tym ironia, że w wszystkich ludzi właśnie komuniści muszą podnosić takie skargi”. Stwierdza, że to winą gen. de Gaulle, który porucił metody i ideały demokratyczne i sprawił, iż — jak pisze organ algerski — „France” — „komuniści stał się czempionami idei republikańskiej i powrotu do demokracji”.

## Rozczarowani do Niemców

Kanadyjski „Ukrainski Hołos” podaje następujące informacje o stosunkach niemiecko-ukraińskich na ziemiach wschodnich Polski i na Ukrainie:

„Po wkroczeniu wojsk niemieckich na teren ziem wschodnich Rzeczypospolitej ukraiński nacjonalizm zgłosił pewne dezorientacje pod adresem rządu niemieckiego, ale wszystkie żądania ukraińskie zostały odrzucone”. Wobec negatywnego ustosunkowania się ukraińskich nacjonalistów do władz niemieckich po odrzuceniu ich żądań — Gestapo poczęła aresztować przywódców ukraińskich nacjonalistów, zwł szcza zwolenników Bandery, sam Bandera zaś zginął w obozie koncentracyjnym.

„W związku z tym powstał na Ukrainie ruch partyzancki wyłącznie ukraiński, który nie utrzymuje żadnych związków z Rosją Sowiecką i zwrócił się przeciwko Niemcom. Na wiosnę 1943 polska organizacja ukraińska składała się z piętnastu tysięcy członków, którzy przywódcami byli: Tarasa Bulby, Pradzyński i inni. Ukraińcy niszczyli też oddziały Niemcy spalił tysiące ukraińskich wsi, a mieszkańcy tych wsi — dzieci i k. biety — wyszła z samolotów bombardowali Niemcy wieś pod Lubomlem i Krzemienem na Wołyniu, tam właśnie rozpoczęło się powstanie Bulby. Długo po tym liczny aresztowań, m. i. aresztowano m. metropolity ukraińskiej Cerkwii Autokelnej, Polikarpa.

„Najbardziej bolesnym dla Ukraińców jest to, mimo swej walki przeciwko niemieckim okupantom nie mają oni żadnych związków z Zachodem”. W r. 1942 Ukraińcy zorganizowali w Helsinkach (Finlandia) biuro ukraińskie, które miało być rzecznikiem spraw ukraińskich, jednak Niemcy zmusili Finów do likwidacji tego biura. Obecnie Ukraińcy czynią starania o zorganizowanie takiego biura w Sztokholmie.”

(m. r.)

## PO BITWIE

(Dokończenie ze str. 1.)

### Polityczna waga zwycięstwa

Wojna jest narzędziem polityki i zwycięstwo na polu bitwy tylko o tyle jest zwycięstwem narodu, o ile zbliża urzeczywistnienie racji stanu tego narodu. Dzieje notują sporo walk, które poza wpisaniem nowych kart chwały nie przyczyniły się do wzmocnienia Polski i do poprawienia jej pozycji w świecie. W dzisiejszym niezwykle trudnym położeniu, gdy z tak różnych stron czynione są zakusy na naszą wolność i całość, każde nawet zewnętrzne zdarzenie musimy oceniać pod kątem użyteczności lub szkodliwości dla naszych celów politycznych. Cóż dopiero, gdy chodzi o drogo okupiony czyn orężny.

Wroga propagandą stale przedstawia Polaków, jako mały i słaby, lecz nadmiernie ambitny naród, który nie chce się przyłączyć do systemu politycznego tego, ani tamtego z wielkich sąsiadów, wysuwając dumne hasła: „Nic o nas bez nas” — utrudnia kombinacje możliwych, stanowi źródło kłopotów. Naród, który nie chce zrozumieć, że w wielkiej grze jego „drobne” potrzeby muszą ustępować przed interesami tych, których wkład w sprawę wygrania wojny uważany jest za rozstrzygający. Nawet przyjazne nam społeczeństwa ulegają wpływowi tej propagandy.

Przeciwstawianie jej bohaterstwa walk wrześniowych jest mało skuteczne, nie łatwo bowiem wytłumaczyć, że i kłeska może świadczyć o sile. To samo z naszym udziałem w kampanii francuskiej, docenianiem przez nieliczne tylko jednostki. Narwik, Torbruk, Gazala — to fragmenty piękne, ale w skali światowych zmaganiach stosunkowo drobne. Ołbrzymie ofiary

w Kraju i w Rosji są wciąż uważane raczej za ofiary *bierno*, zasługujące na łaskę współzyciela, niż za wkład *czynny* w sprawę zwycięstwa. Największym bodaj atutem jest dotąd praca lotnictwa, ale od bitwy o Anglię wpływa już rok czwarty, a imponujący wzrost powietrznej potęgi sprzymierzonych powoduje stosunkowy spadek naszego w niej udziału.

W tych warunkach wykonanie przez nas zadania o dużym znaczeniu operacyjnym, zadania, którego trudności nikt nie może podać w wątpliwość, poniesienie ofiar czynne i zwycięskie — może i powinno przyczynić się bardzo poważnie do wzmocnienia naszego stanowiska.

Insynuacje o rzekomej naszej ugodowości wobec Niemców muszą ustać i obrócić się przeciw potwarzom. Próby wytrącenia nas z obozu sprzymierzonych dostały godną i niedwuznaczną odpowiedź ku rozczarowaniu sąsiadów z prawa i z lewa.

Przekonywanie potwirdzenie dość znanego, ale przez wrogów propagandy podkopywanego fikty bitności naszego żołnierza poważnie zwiększa nasz ciężar gatunkowy. Naród trzydziestukilkumilionowy, który *tak* się bije, który z *takim* uporem urzeczywistnia swe zamiary, który *takie* przewzody potrafi pokonywać, który z *taką* lojalnością odnosi się do zadań, których się podjął — nie może być łatwo zaliczony do narodów małych, bo niedorzeczność takiego zaliczenia staje się zbyt jaskrawa. Jeżeli inne narody wyciągną stąd wnioski, że z takim narodem warto współpracować, że słabsi mogą się na nim oprzeć, że zadziwiać z nim nie opłaca się, nawet gdy jest tak bardzo osłabiony — wielka część zasługi przypadnie tym, którzy spozywiają na skromnych komentarykach pod Cervaro, czy pod

Aquafonda, którzy leczą rany w szpitalach, czy mają szczęście pozostać w oddziałach.

W opinii świata walczą dziś dwie sprzeczne tendencje organizowania Europy. Jedna oportunistyczna, liczy się tylko z arytmetycznie rozumianym układem sił; uważa nasz kontynent za przysłą sferę wpływów tego mocarstwa, które w tej chwili wywoje się najsilniejsze; nie widzi możliwości zapobieżenia temu, chociaż wie, że rządy tego mocarstwa oznaczają przekreślenie europejskiej kultury. Druga zaś szuka rozwiązań na trunojszej, ale zachowującej kulturę europejską drodze — budowy bezpieczeństwa w oparciu o porozumienie i *współpracę wolnych narodów* Europę zamieszkujących, w szczególności o współpracę narodów Międzymorza, tzn. osiadłych między Bałtykiem i Morzem Śródziemnym. Od zwycięstwa tej drugiej koncepcji zależy nasza przyszłość. I nie tylko to.

Największą trudnością stanowi jednak przekonanie samych narodów Międzymorza, jak i potęg anglosaskich, że projektowany związek miałby dostateczną odporność. Byłoby grubą nieuczciwością ludzi czynników, że zwycięstwo pod Cassino będzie tu wystarczającym argumentem. Ale wszystko, co zwiększa świadomość i siłę w nas samych i w opinii obcych, jest ciężarkiem dorzucanym na szalę, na której nasz los jest ważony.

Dlatego śmiało można twierdzić, że decyzja o podjęciu próby i sposób jej dokonania są dla naszej polityki bardzo poważnym atutem. Oczywiście pod warunkiem, że jego polityczne wyzyskanie będzie równie ofiarne, równie konsekwentne, równie nieustępliwe, jak było natarcie 2. Korpusu na linię Gustawa.

Michał Ciołek

## Z prasy podziemnej

### Czeskie bezdroża

W ostatnim numerze WRN zamieściliśmy korespondencję z Czechosłowacji zawierającą szereg uwag m. i. na temat paradoksalnego dla Polaków faktu jednoczesnej współpracy narodu czeskiego z Niemcami, a rządu czeskiego z aliantami zachodnimi i Rosją. Angielska i czeska prasa londyńska dostarczyły ostatnio ciekawego materiału ułatwiającego zrozumienie tego dziwnego rozdwojenia politycznego, które pozwala społeczeństwu czeskiemu entuzjastycznie się sowietofilskimi poczynieniami p. Benesa i jednocześnie z całym przekonaniem popierać p. Hachę i jego administrację współpracującą z Niemcami.

„Prasa angielska stwierdza przede wszystkim, że coraz więcej przemysłu niemieckiego ewakuuje się na obszar Czechosłowacji. Śląsk, Austria i t. zw. Protektorat stały się obecnie najpotężniejszymi ośrodkami niemieckiej produkcji wojennej, pisze „Tribune” w dn. 19.11. ub. r. za „Economist” stwierdza, że w czasie od 1940-1942. liczba robotniko-godzin zapracowanych w przemyśle Czecho i Moraw wzrosła o 50 proc., zaś wskaźnik produkcji Skody skończył w tym czasie z 397 na 627. „Im większe byłyby niepokoje w Protektoracie — pisze „Economist” — tym mocniej oddziaływo Niemcy i tym większa byłaby to pomoc dla aliantów. Tymczasem Protektorat jest najspokojniejszym krajem w całej Europie. Oczywiście były tam pewne bohaterkie epizody, jak rewolta studentów w Pradze, zabicie kłata Heydricha, męczennostwo ludności Lidic i Lozaków, ale trzeba porównać sytuację Niemców w Protektoracie z problemami, wobec

których stoją oni w Polsce, Jugosławii, Francji, Holandii, Danii i Norwegii”. Jeszcze wymowniej- szą jest artykuł, opublikowany w dniu 28.VIII. 43. w tygodniku czeskim, wychodzącym w Londynie — „Novocesoslovensko”, pióra naczelnego redaktora tego pisma. Porównując sytuację Protektoratu z położeniem okupowanych krajów, pisze on, że Czesi nienawidzą Niemców, ale od uczuć do czynów daleko. „Świat oczeni Czechów nie według uczuć, lecz według czynów. Jest wojna. Tymczasem decydującym faktem jest to, że Czesi dzień i noc pracują dla Niemców. Skoda wyrabia działa, Miltkowiec płyty pancerne, Zbrojówka karabiny maszynowe, Ceskomorawska czołgi. Dla sowieckich i brytyjskich żołnierzy nie jest rzeczą ważną, czy sa oni zabijani bronią produkowaną „dobrowolnie” czy pod naciskiem. Sam fakt wystarcza. Jest to bron produkowana przez Czechów. Trzeba — woła redaktor pisma czeskiego — spojrzeć prawdzie w oczy. Nie wolno chować i ukrywać tych faktów, chociaż — powie ktos — pogrążają nas one w oczach aliantów”.

„Dalej pismo przypomina wielokrotnie wezwania wybitnych Czechów przebywających w Londynie — jak premiera czeskiego Sramka lub gen. Ingrą — skierowane do ludności Czech i Moraw celem skłonienia jej do wzięcia aktywnego udziału w walce z Niemcami. Potrzebę podobnych wezwań uzasadnia czeskie pismo następującymi przyczynami: 1. naród czeski wciąż jeszcze odzuwa straszny cios, zadany mu przez Monachium; 2. robota czeskich kuziingowców przyciemnia cele przyswajające wspólnej walce; 3. Czesi z uporem uważają, że pomoc może przyjść tylko z zewnątrz, nie nie można samym zrobić. Będzie tak jak w 1918. r.: republika powstanie w wyniku zwycięstwa wielkich demokracji.

„Następnie autor artykułu atakuje ostro rząd czeski w Londynie wtykając mu, że nie ma żadnego konstruktywnego programu na przyszłość i żadnego poczucia odpowiedzialności wobec losu Czechów. „Czasem bawi się on w federacje, czasami w konfederacje, ale ta zabawa zaczyna się lub jest odwoływana w zależności od pogody politycznej. Czesi w kraju nie wiedzą o ci i za co mają walczyć... Bardzo ładnie, że p. Benesz jedzie do Moskwy — pisze dalej dziennikarz czeski — ale mógłby on zrobić coś bardziej pożytecznego. Rząd czeski mógłby pomóc w obudzeniu w Czechosłowacji większego oporu. Mógłby on naprawdę przyczynić się do skrócenia wojny, gdyby pracował twórczo nad nową i zdrową jednością narodów. Gierki dyplomatyczne, nieustępliwość wobec Słowaków, niebopowiedzialne gadanie o transferze ludności — z tego nic dobrego nie wyniknie”.

„Ten niezwykle szczery głos samokrytyki czeskiej odstania tragedię wewnętrzną narodu, który oficjalna polityka czeska usiłuje przed światem ukryć przy pomocy coraz to innych posunięć dyplomatycznych. Wepchnięty niegdys przed zradę monarchijską i własną słabość w ramiona Hitlera, teraz zaś wprężony przez p. Benesa do rydwanu sowieckiego, naród czeski zatracił w tych latach ciężkie próby własną linię polityczną. Odnalezienie tej linii na nowo, a potem mocne i zdecydowane przy niej trwanie — musi Czechów doprowadzić do koncepcji ściślejszej współpracy z Polską, z którą wszystko ich łączy, a nie istnienie nie dzieli. Imi przędzej się to stanie, tym lepiej dla Czech, dla Polski i dla całej Europy”.

Tygodnik „WRN” nr. 4. (135). Rok VI. z dn. 25 lutego 44.